

28 marca br. minie 20 lat od dnia, w którym kule band UPA pod Baligrodem śmiertelnie raniły legendarnego i ukochanego przez żołnierzy dowódcę — generała Karola Świerczewskiego.

Zycie Karola Świerczewskiego było ciągłą walką o „wolność waszą i naszą”. Urodzony w Warszawie, zostaje w roku 1915 ewakuowany z fabryki Gerwoluca Październikowa, w której uczestniczy jako żołnierz. W szeregach Armii Czerwonej zdobywa ogromną wiedzę wojskową, owocującą w czasie walk w Hiszpanii, gdzie dowodził — znany jako generał Walter — Brygadami Międzynarodowymi.

W czasie II wojny jest w Związku Radzieckim wśród organizatorów I Dywizji Wojska Polskiego. Przechodzi szlak bojowy od Oki do Wisły. Potem dowodzi II Armią Wojska Polskiego.

Po zakończeniu działań wojennych generał broni Świerczewski jest m. in. dowódca III Okręgu Wojskowego w Poznaniu.

Barbara Mosiężna

GENERAL ZNANY I BLISKI

Urzekło piastowskie gniazdo naszego generała od samego początku. Od 6 marca 1945 roku — kiedy to na rynku gnieźnieńskim odbierał defiladę wkraczających do miasta żołnierzy II Armii Wojska Polskiego. A od września 1945 r., gdy Karol Świerczewski został dowódcą III Okręgu Wojskowego w Poznaniu, był już u nas stałym gościem. Nie, źle powiedziałem. Gdzie tam gościem. On był jednym z nas. Jakby się w Gnieźnie urodził.

Stefan Grotowski, emeryt, pierwszy po wojnie przewodniczący Rady Narodowej Gniezna, patrzy po naszych zasłuchanych twarzach z uwagą, pragnąc widocznie sprawdzić, czy to, co wyraża słowem i żywym gestem, i to, co chciałby jeszcze wyrazić — trafia do nas. I widać u niego, że tak, bo po chwili ciągnie dalej swoją opowieść o gnieźnieńskich dniach generała Świerczewskiego.

— Nie będzie chyba przesadą, jeżeli powiem, że Gniezno było drugim miastem ojczystym w jego sercu. Pomagał nam tu we wszystkim. To on przecież skłonił nas do starań o budowę nowoczesnej garbarni. On postarał się o wyasygnowanie poważnej na owe czasy sumy na odbudowę zniszczonej Katedry. Nieraz przesiadaliśmy z nim do późnej

nocy w gronie działaczy, snując plany rozbudowy miasta i przebudowy serc ludzkich. Bo człowiek był dla niego wszystkim. Umiał rozmawiać z każdym. Był nadzwyczaj skromny i potrafił zniwelować dystans jego generalskiej rangi. Tu zresztą znają go nie tylko gnieźnianie. Zna go prawie cały powiat. Z naszej ziemi kandydował na postać do pierwszego po wojnie Sejmu. Niedługo jednak było tego posłowania. Wybrany 19

Karol Świerczewski w Wielkopolsce

stycznia 1947 r. — zginął w dwa miesiące później.

Stara, poorana zmarszczkami twarz Stefana Grotowskiego, drga jakoś dziwnie, więc Feliks, klerowca redakcyjny — towarzyszy naszych reporterskich wędrówek — pyta z wyraźną pozorną szorstkością w głosie:

— A do Czarniejewa to się jedzie chyba na Wrześnię?

— Tak. Tam go cała gromada pamięta. Tamtejszym chłopom Karol Świerczewski wręczał akty nadania ziemi z reformy rolnej.

Do Czarniejewa zabrał się z nami Zygmunt Cholewcyński, zasłużony działacz partyjny, w tamtych latach

POGLĄDY-POLEMIKI-POSTULATY



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 282 26. III. 1967 Rok VII

sekretarz Komitetu Powiatowego PPR.

— Wyjazdy z Karolem Świerczewskim w teren, do ludzi, były dla nas, aktywistów partii, szkołą społecznego działania — mówi. — Część oficjalna zebrań trwała zawsze bardzo krótko. Generał nie lubił przemawiać. Ale za to umiał rozmawiać. Po zebraniach siadał razem z chłopami przy stole i gawędził nieraz do późnej nocy. Zresztą, powiedzą wam o tym starsi gospodarze. Niejedną z nich ma już dzisiaj koło siedemdziesiątki, tyle, ile teraz miałby — „Walter”.

Przewodniczącą Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Czarniejewie — Walerian Krygier, który w tamtych latach chodził jeszcze w krótkich spodniach — wcale nie jest zdziwiony naszą wizytą.

— O, generał Świerczewski jest w naszej gromadzie postacią znaną i bliską — mówi. — Ja go wprowadzić nie znałem, ale znał go mój ojciec. Również nasz sekretarz Prezydium, który już 22 lata nieprzerwanie nam tu sekretarzuje.

Marian Graczyk — sekretarz Prezydium GRN, robi nam ogromnie przyjemną niespodziankę. Wręcza nam zdjęcie generała Świerczewskiego w otoczeniu chłopów z okolicznych wsi.

— Wypożyczę redakcji to zdjęcie.

Dokończenie na str. 4



Fot. CAF — Sokołowski

Irena Solińska

Ozdoba wielkanocnego stołu czyli jajko i my

Czymże byłaby Wielkanoc bez jajka?! Nie, to nie do pomyślenia. Jajkiem stary obyczaj każe się podzielić, jajkiem „mole” zakąsić spirytualia, a nawet urządzić „pojedynki jajeczne”, górą ten czyja skorupka wytrzymała! Nie wspomnę już o bardziej prozaicznej funkcji jajka, jako niezbędnego elementu w tortach i świątecznych babkach. No i jeszcze jajko przemienione w dzieło sztuki, — pisanka czy kraszanka, ozdoba stołu, motyw powielany w tysiącach wariantów na wielkanocnych pocztówkach. Wystarczy?...

Symbol i realia

Nie bez kozery jajko od wieków kojarzy się z wiosennymi świętami i zwyczajami. Wszak uosabia to wszystko co się rwie do życia, ledwie tylko śniegi stopnieją. Doprawdy piękny i głęboko filozoficzny symbol.

Nie popadajmy jednak w abstrakcyjną zadumę i sprowadźmy jajko... na stół. Chciałoby się najpierw zacytować: „sami nie wiecie co jecie”. Tylko proszę nie zrozumieć opanicznie moich intencji. Nie chodzi o żadne zniechęcanie, w dobie rosnącej świadomości gastrologicznej pewne szczegóły warto sobie po prostu przypomnieć.

A więc jajko to gameta żeńska, komórka zdolna do wytwarzania nowego organizmu. Jest to zresztą ko-

mórka największa. Rozmiary miewa rozmaite, zależnie od gatunku istoty żywej; od kilku mikronów do kilku centymetrów średnicy. U kury ok. 3,5 cm., u strusia 10,5 cm. Wielkość wiąże się zawsze z ilością żółtka.

2 jajka — 157 kalorii

Nie dla nas, lecz dla zarodka przygotowane były odżywcze smakowitości, które zjadamy po wiedeńsku; na twardo, w prozaicznej jajeczniczy na boczku. Choć w tzw. białku procent wody sięga 86 proc., a w żółtku połowy zawartości, i tak zjadając dwa jajka przyswajamy 157 kal. w bardzo atrakcyjnym zestawie: są w nim białka, głównie fosfoproteiny, tłuszcze, wśród nich olej bogaty w lecytynę, a do tego witamina B2 i sole mineralne.

Rozkoszne kur gdakanie

Jada się na świecie niezliczoną mnogość jaj znoszonych przez najprzeróżniejsze stworzenia żyjące dziś ko i hodowane. Największą karierę zrobiły jednak te kurze. Choć starożytność szybko ich oswoiła w tym celu gęsi. Udomowiono je już 3 tys. lat p.n.e. W kolejności idzie kaczka, potem perliczka.

Lecz wróćmy do świątecznego stołu. Nasze jajko, o ile zostało kupione via handel uspołeczniony, zostało

Dokończenie na str. 2



Generał Karol Świerczewski na zebraniu chłopów w gromadzie Czarniejewo, powiatu gnieźnieńskiego, w lutym 1946 roku. Fot. Archiwum

Z każdym rokiem wzrasta pozycja Poznania, centrum życia gospodarczego i kulturalnego regionu. Jeszcze bardziej zwiększy się jego rola w 1980 r., kiedy miasto ma liczyć 600 000 mieszkańców. Oznacza to, że Poznań pozostanie piątym pod względem liczby mieszkańców miastem w Polsce.

Jeszcze większe zmiany zajdą w tym okresie w uprzemysłowieniu miasta. W 1980 r. poznański przemysł ma zwiększyć bowiem wartość produkcji do przeszło 60 miliardów zł, a więc będzie ona przeszło 3-krotnie większa niż obecnie. Tak znaczne tempo w rozwoju pozwoli na utrzymanie rangi Poznania jako jednego z najbardziej uprzemysłowionych miast Polski. Wspomniany wzrost w stanie osiągnięty dzięki inwestycjom wartości 20 miliardów zł i zwiększeniu dotychczasowego zatrudnienia z 90 000 do 130 000 osób. Szanse przemysłu są więc znaczne i zostaną wykorzystane, jeśli wzrośnie aktywizacja zawodowa kobiet, a w strukturze nakładów — udział środków na modernizację, automatyzację i mechanizację. Władze miejskie są zdania, że istnieją szerokie i liczne możliwości tworzenia nowych stanowisk pracy dla niewiast, nawet w przemyśle maszynowym, elektrotechnicznym i chemicznym.

Trudno już dziś odpowiedzieć na pytanie, kiedy będzie można prze-

Bronisław Lisowski

Poznań metropolią z satelitami?

nieść w Poznaniu na inne tereny tak uciążliwe dla mieszkańców zakłady jak browar czy rzeźnię itp. Środki są tu ograniczone, a problemy trudne. Olbrzymie znaczenie ma też realizacja zatwierdzonego ostatnio przez Prezydium Rady Narodowej Poznania programu walki z hałasem, zanieczyszczeniem przez przemysł powietrza i rzek.

Budownictwo mieszkaniowe to dziedzina, która najbardziej jednak absorbować będzie władze miejskie w ciągu najbliższych lat. Chodzi przecież o 600-tysięczny Poznań i o radykalną poprawę warunków bytowych mieszkańców, bo te — mimo postępów — nie są zadowalające. W 1965 r. przypadało średnio na izbę około 1,5 mieszkańca, a ponad 4 000 rodzin przebywało w pomieszczeniach uznanych za nie mieszkalne. W planach zakłada się, że każda rodzina winna korzystać w 1980 r. z samodzielnego mieszkania, każdy jej członek z własnej izby, a więc tym samym należy wybudować do tego czasu 300 000 izb, czyli tyle ile ich było ogółem w Poznaniu w 1965 r. Według prognoz są to zamierzenia mimo wszystko

realne. Do 1980 roku cały plan potrzeb ma być zrealizowany dzięki budowie osiedli na Ratajach, Winogradach oraz szeregu mniejszych, w innych rejonach miasta lub w ramach budownictwa jednorodzinnego. Zrealizowanie tak szeroko zakrojonych planów zmieni też w zasadniczy sposób sylwetkę urbanistyczną Poznania.

U schyłku XX wieku

Pewne zmiany w tym zakresie są już zresztą widoczne, gdyż zapoczątkowano w ostatnich latach przebudowę śródmieścia, przewidziano uporządkowanie pl. Wolności, al. Marcinkowskiego, ulic Czerwonej Armii 27 Grudnia i Roosevelta, wybudowa

no biurowce przy Piekarach, stawia się Collegium Philosophicum przy ul. Marchlewskiego. Przewiduje się także nowy biurowiec Zjednoczenia Przemysłu Meblarskiego u zbiegu ulic Roosevelta i Dąbrowskiego, gmach dla Prezydium WRN przy al. Sta-

lingradzkiej oraz Dom Związków Zawodowych przy al. Marcinkowskiego.

Achillesową piętą Poznania jest nadal jeszcze komunikacja. Na jednej z ulic, zwłaszcza centralnych staje się już dzisiaj problemem przejście przez jezdnię. A można sobie wyobrazić do czego dojdzie w 1980 r., kiedy to po ulicach Poznania ma jeździć 85 000 pojazdów mechanicznych, zamiast 45 000, bo tyle ich mamy obecnie. Władze miejskie dopinguja więc podległe im placówki do opracowywania śmiałych i bardziej odpowiednich układów komunikacyjnych, usprawniania dojazdów do pracy itp.

W planach przewidziano także rozbudowę bazy szkolnictwa wyższego oraz podłączenie Poznania do 1975 roku do ogólnopolskiej sieci gazowej. Ta ostatnia inwestycja stworzy m. in. atrakcyjne perspektywy dla terenów położonych wzdłuż gazociągu, zwłaszcza na południe do Ostrowa, a na północ do Piły, lepsze powiązanie miasta, z zapleczem w promieniu do 50 km, z czym wiązać się będą za-

gadnienia urbanistyczne, demograficzne, zatrudnienia, komunikacji itp.

Tyle — jeśli chodzi o wstępne projekty, przedstawione przez przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej Poznania, Jerzego Kusia, na sesji naukowej, poświęconej rozwojowi miasta. Projekty te wymagają jeszcze pewnych zmian i uzgodnień. Jeszcze większe problemy powstaną w przyszłości, skoro zgodnie z demograficznymi prognoząmi Poznań ma w 2000 roku liczyć około miliona mieszkańców. Przy tak znacznej rozbudowie należałoby wydatkować ogromne środki i nie szczędzić wysiłku, by zapewnić sprawne funkcjonowanie tak dużego organizmu. Z drugiej strony lansowana jest teza, że lepiej budować blisko położone miasta satelitarne, zabezpieczając im dogodną sieć komunikacyjną do Poznania. Miasto nasze byłoby w takim przypadku tylko ośrodkiem pracy i usług wyższego rzędu. Doświadczenia wskazują, że wybudowanie nowego miasta dla 50 000 — 100 000 mieszkańców jest w okresie 20 lat zupełnie niemożliwe, podczas gdy rozbudowa w tym samym czasie istniejącego o 400 000 może być dla jednego pokolenia nie lada ciężarem i stworzy poważne trudności. Jaki wariant wybieramy, na który się zdecydujemy — muszą pokazać już najbliższe lata.

Niedawno Andrzej Brychł w jednym ze swoich głośnych — już nie tylko w kraju — reportaży z Niemiec zachodnich, drukowanych na łamach „Kultury”, podał fakty, które wstrząsnęły niejednym z czytelników. Oto na manifestacji pokojowej w Monachium doliczył się ponad dwadzieścia siedem osób, podczas gdy w jednym z wieców neonazistowskiej Narodowo-demokratycznej Partii Niemiec — uczestniczyło ponad dwadzieścia tysięcy osób. Przeważnie młodych, którzy nadciągali, bo — jak stwierdzali — pociągają ich idee NPD, która obiecuje rychłe „wyzwolenie” NRD i powrót federalnych Niemiec na nasze ziemie zachodnie.

Na lep mrzonek propagandy neonazistowskiej idą więc nie tylko podeszli wiekiem byli SS-mani i przestępcy wojenni, lecz także ludzie młodzi. Ostatni właśnie dlatego, że zabrakło w NRF kar i potępienia dla przestępców wojennych, a ci dzięki temu nie zaprzęśli żadnej okazji, żeby izolować świadomość młodzieży od prawdy o zbrodniach hitlerizmu.

Kiedy z początkiem 1959 r. znany zachodnioniemiecki dziennikarz Juergen Neven-Dumont przeprowadzał rozmowy z uczniami szkół zachodnioniemieckich w wieku 14—17 lat, stwierdził, że 9 na 10 spośród nich albo w ogóle nie słyszało o Hitlerze, albo znało go wyłącznie jako „faceta ze śmiesz-
nym czarnym wąsikiem”, lub też jako „tego, który zbudował autostrady”. Niektórzy zaś wiedzieli, iż

źródła w skrupulatnie konstruowanym przez władze republiki bfińskiej imperialistycznym systemie wychowawczym.

Jest w tej sytuacji niezwykle istotnym dla nas faktem, że granice jeszcze raz militarystycznego i odwetowego państwa niemieckiego jakim jest NRF znajdują się o ponad 400 km na zachód od naszych. Ze między naszą granicą zachodnią a wschodnią granicą Niemieckiej Republiki Federalnej znajduje się inne państwo niemieckie — Niemiecka Republika Demokratyczna.

NRD, jeszcze zanim przeszła do budownictwa socjalizmu, podjęła wielką, niełatwą i długotrwałą pracę nad wykorzenianiem i przezwyciężaniem ideologii hitlerizmu w ludzkich umysłach a zarazem nad kształtowaniem poczucia przyjaźni i pokoju między narodami.

Szkolnictwo — podstawowy instrument reedukacji społeczeństwa — od pierwszych dni po zakończeniu wojny stanowiło tam dla niemieckich sił demokratycznych i antyfaszystowskich problem kluczowy. Już w pierwszym roku powojennym oczyszczono cały personel nauczycielski i administracji szkolnej z elementów hitlerowskich lub prohitlerowskich. W praktyce oznaczało to niemal całkowitą rezygnację z dotychczasowych nauczycieli i zastąpienie ich nowymi siłami. Nieraz byli to ludzie nie przygotowani do zawodu, bo za ledwie po krótkim przeszkoleniu; byli jednak albo antyfaszystami, albo też więźniami hitlerowskich



Olga Sawicka w roli Władczyny Miedzianej Góry w balecie Sergiusza Prokofiewa „Kamieny Kwiat”. Fot. B. J. Dorys

CIĘKAWI LUDZIE
CIĘKAWY SPRAWY

W kregu białego baletu

to konieczne. W Polsce brak przy tym jeszcze specjalistów baletu jazzowego. Brak ciekawych układów choreograficznych. Nasi choreografowie i baletmistrzowie kształcili się przeważnie w Związku Radzieckim na wzorach rosyjskich. Nie zetknęli się tam z nowoczesnym, jazzowym baletem, tylko ze — znakomitą zresztą — starym, rosyjskim. W Polsce jedynym właścicielem specjalistą od nowoczesnego tańca jest nasz choreograf Conrad Drzewiecki.

Pytał pan, czy taniec klasyczny stwarza jeszcze możliwości odświeżania, uzupełnienia. Sądzę że tak. Poza „Giselle” i „Jeziorem łabędzim” wprowadza się na scenę nowe układy i choreografie. Klasyczne figury stosuje się też w balecie bardziej nowoczesnym, np. w słynnym francusko-belgijskim zespole Bejarta.

— Jak wygląda obecnie kariera tancerki. Czy łatwo można zostać w Polsce gwiazdą?

— Wydaje mi się, że dobre tancerki mogą u nas szybko obecnie zrobić efektowną karierę. Zapotrzebowanie na dobrych tancerzy w zespołach jest bardzo duże. Dysponujemy już w kraju wieloma dobrymi choreografami po studiach baletowych w Moskwie i Leningradzie oraz pedagogami. Zawód tancerki jest jednak bardzo trudny, wymaga ogromnej pracy, maksimum wysiłku fizycznego. Wydaje mi się, że wiele zdolnych tancerek i tancerzy nie zdobywa się po prostu na to maksimum wysiłku. Obserwowałam często z pewnym zdziwieniem nawet lenistwo wśród młodych adeptów. A przecież młodzież w szkołach baletowych ma obecnie znakomite warunki do nauki. Często ich jednak nie docenia, nie zdobywa się na maksimum pracowitości, od czego tak wiele w balecie zależy.

— W prasie literackiej sporo ostatnio pisało się krytycznie o polskim baletcie, o warunkach w jakich on działa. Co może Pani oświetlić o głównych jego bolączkach?

— Jedną z największych bolączek naszego środowiska jest sprawa emerytur dla tancerzy. W moim zawodzie trudno jest dotrzeć do sześćdziesiątego roku życia w dobrej formie na scenie. Tancerz w starszym wieku przeżywa więc w szczególności przykry sposób okres czekania na rentę. Musi pokazywać się na scenie w słabej formie, tańczyć drobne role. Nie jest on też w pełni produktywny dla samego teatru. To duży problem społeczny dla ludzi naszego zawodu.

— Występuje Pani często na scenach zagranicznych: w Paryżu, Moskwie, Sztokholmie. Co sądzi Pani o polskim baletcie z perspektywy zagranicy?

— Wydaje mi się, że balet nasz stoi obecnie nieźle. Na przykład Opera Poznańska dysponuje w moim przekonaniu już dobrym zespołem. Drzewiecki jako baletmistrz działał tu bardzo wiele. Zmiany na lepsze dokonały się dosłownie w ostatnich latach. To także zasługa Roberta Satanowskiego, który jest jednym z nielicznych dyrektorów oper, rozumiejących sprawę baletu i stwarzających szanse tancerzom. Kiedy przyjechałam do Poznania, zaproszona właśnie przez Drzewieckiego, nie byłam zachwycona aktualnym poziomem zespołu. Obecnie jest on już wysoki. Może nawet najwyższy w kraju. Oczywiście, najlepszy balet klasyczny mają nadal Rosjanie. Balet nowoczesny wysoko stoi w Stanach Zjednoczonych i Francji.

Pora kończyć rozmowę. Tancerkę ktoś wywołuje, porywa. Wypada tylko życzyć sukcesu na premierze, no i potem w maju w Hawanie.

Rozmawiał:

OLGIERD BŁĄŻEWICZ

Tadeusz Kaczmarek

Nie te same Niemcy

„rządził krajem od 1933 do 1945 roku” i że „aresztował przestępców i odrodził Niemcy”.

Tak było przed ośmiu laty, chociaż w czasach jeszcze niedawnej wówczas okupacji w Niemczech zachodnich podręczniki szkolne zawierały po około 50 stronice o okrucieństwach hitlerowskich i obozach koncentracyjnych. Później — już same władze zachodnioniemieckie zdecydowały wydać zmienione podręczniki, wykasując w nich — jak i w praktyce, wyrozumiałość dla przestępców hitlerowskich. Z wielu zginęły jakiegokolwiek wzmianki o terrorze lat hitlerowskich. T. H. Tetens — bynajmniej nie podejrzanym o prokomunistyczną sympatię amerykański autor pochodzenia niemieckiego — w swojej książce „Naziści znowu u władzy” stwierdza wręcz:

„Większość podręczników uwalnia naród niemiecki od jakiegokolwiek odpowiedzialności za reżim hitlerowski, a nawet twierdzi, że nie wiedział on o okrucieństwach popełnianych w obozach koncentracyjnych. Niektóre podręczniki historii pomniejszają zbrodnie hitlerowskie i gloryfikują sukcesy militarne Hitlera w drugiej wojnie światowej. Wybór podręczników pozostawiono całkowicie dyrektorom szkół i nauczycielom. Przywileju tego wiele nadużywają byli hitlerowcy”.

Duch odwetu i wrogość do innych narodów, ujawniający się nie tylko przecież na wiecach NPD, ma swoje

obozów koncentracyjnych. Takich ludzi trzeba było znaleźć kilkadziesiąt tysięcy.

Był to zapewne problem trudniejszy do rozwiązania niż wprowadzenie nowych programów i podręczników. Ale ważne jest, że w podręcznikach szkół NRD znalazło się miejsce przede wszystkim na krytyczne oświetlenie przeszłości narodu niemieckiego, na potępienie zbrodni hitlerizmu i uwypuklenie postępowych tradycji Niemiec.

Nie pobbazanie dla faszystów, dla militarystów, dla członków byłej partii hitlerowskiej, stało się także zasadą przy powoływaniu wymiaru sprawiedliwości. Funkcji sędziego, prokuratora czy adwokata nie pozwalano objąć w NRD — jeszcze zanim to państwo powstało — żadnemu prawnikowi, który należał do partii hitlerowskiej bądź pracował w hitlerowskich sądach specjalnych lub wojennych. Podobnie — w policji, czy we władzach samorządowych. W latach 1945—48 musiało odejść z różnych stanowisk we władzach, urzędach i przedsiębiorstwach 520.000 byłych hitlerowców. Ich miejsca zajęli ludzie młodzi, jeszcze nie wprawieni w wykonywaniu nowych zadań, a już tacy, których przeszłość nie była obciążona służbą w hitlerowskim aparacie wła-

Między Odrą a Łabą

dzy. Stąd właśnie w pierwszym okresie po proklamowaniu NRD tak uderzająco wielu młodych ludzi spotykaliśmy w urzędach, na kierowniczych stanowiskach w instytucjach i przedsiębiorstwach, jako dowódców policji i straży granicznej, a później — gdy powołano Narodową Armię Ludową — także w wojsku.

Natomiast — tylko w „federalnej” Bawarii, gdzie jeszcze w okresie okupacji amerykańskiej została rzekomo przeprowadzona „denazyfikacja”, aż 85 procent stanowisk sędziów objęli natychmiast pracownicy hitlerowscy. Dziś jeszcze w najwyższej instancji sądowej NRF — w Urzędzie Ochrony Konstytucji za siada 17 byłych hitlerowskich sędziów, zaś 27 jest przewodniczącymi lub kierownikami sądów okręgowych.

Zgodnie z tym też, 100 generałów i admirałów zachodnioniemieckiej Bundeswehry szczyci się udziałem w szeregach Wehrmachtu w agresji hitlerowskiej.

W armii NRD dowodzi zaś 14 generałów, którzy podczas drugiej wojny światowej uczestniczyli w ruchu oporu w różnych krajach Europy, okupowanych przez Niemcy hitlerowskie; 8 uczestniczyło w brygadach międzynarodowych walczących z faszystyzmem w Hiszpanii; 7 przebywało w okresie Trzeciej Rzeszy w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Rozumiemy, że trudniej niż ruiny w miastach i na wsi było usunąć zamęt duchowy i rozkład moralny pozostawiony w umysłach wielu Niemców po 12 latach rządów Hitlera. Dlatego właśnie tym bardziej cenimy to, czego dokonano w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w państwie, od ponad 17 lat — tak jak i nasze — także socjalistycznym. I chociaż proces przemian w świadomości społecznej nie jest nigdy łatwy i zawsze długotrwały, to pamiętamy zarazem, że w NRD rozwija się on nadal. A ponadto — że demokratyczny system na terenach Niemiec między Łabą i Odrą trwa już od lat bez mała 22, a więc prawie dwa razy dłużej niż nad narodem niemieckim panowała „tysiącletnia” Rzesza hitlerowska.

Widzimy to i odczuwamy. Tym bardziej jesteśmy z tego zadowoleni, bo na zachód od Łaby istnieje drugie państwo niemieckie, które rade by to zmienić — wbrew nam i wbrew naszym narodowym interesom.

muja. Jeśli zatem leży przed nami do rodne jajo — to ani chybi pochodzi od leghorna albo zielononóżki czy też kury o nazwie rasy brzmiejącej z angielska: sussex, new-hampshire, czy cornishe.

Toast „ajer - koniakiem”

O jajku jako takim i jako innym można prosić państwa nieskończenie. Wszak ani słowa nie wspomnieliśmy, że bywa w proszku i w mrożonej masie jajecznej. Pod tą postacią używa go przemysł spożywczy. Babciom warto wyjaśnić, że przecho wywanie w popiele i w „szklanej wodzie” już wyszło z mody. Teraz robi się to naukowo i masowo: w chłodniach o temperaturze 0 st. w oleju parafinowym, w roztworze wodorotlenku wapnia, a nawet w specjalnych gazach. Nic jednak nie zastąpi jajku świeżości, a ta jak wiadomo trwa nie dłużej jak siedem dni.

Tak, tak. jajko to potęga. Towarzystwo nam wiernie przez całe życie począwszy od „kogla-mogla” po „ajer-koniak”. Jeśli przypadkiem pod tą postacią znajduje się na świątecznym stole, wychylamy nim pożywny toaścik na cześć wiosny, zieleń i wszystkiego co rozwita. Za pracę witość kokoszek także.

IRENA SOLIŃSKA

Jajko i my

Dokończenie ze str. 1

zniesione w jednej z nowoczesnych farm hodowlanych. Wokół kury — dawczynie nabiątu uwijali się ludzie w białych fartuchach, stale coś ważyli, mieszaali, pisali. Bo dziś hodowla stała się galezią przemysłu, wymagającą dużej fachowej wiedzy. A jeżeli nasze jajo kupiliśmy wprost z koszyka, to i tak najprawdopodobniej zetknęło się z nowoczesnością, gdyż gospodyni zakupiła jego rodzicielkę w wylęgarni. Dzięki temu gda cze w obciążeniach coraz więcej kur rasowych.

Holenderskie przodownice

W ostatnich latach Polska znalazła się w czołówce eksporterów jaj. Mocarstwem w tej branży jest Holandia. Tamtejsze kury znoszą przeciętnie 210 jaj rocznie. Tego rodzaju wydajność zależy o m. in. od rasy. Kokoszki pstrakato-czubate tradycyjnie go chowu konkurencji nie wytrzy-

Na temat Targów dyskutowano kiedyś wiele nie tylko na łamach prasy. W niektórych kołach opiniowano wówczas, że ta forma pośrednictwa w międzynarodowej wymianie handlowej przeżywa się, a w każdym razie — nie ma przyszłości. Przy okazji podnoszono także sprawę modelu Międzynarodowych Targów Poznańskich, sugerując potrzebę zmiany ich charakteru z wiełobranżowych na specjalistyczne. Z czasem dyskusja wygasła, a nawet doszło do ujednolicenia poglądów co do kształtu poznańskiej imprezy. Stało się to nie przypadkiem, czego dość dobrym dowodem niech będzie fakt, że międzynarodowa organizacja Targów (Union des Foires Internationales — UFI) zrzesza dzisiaj 84 duże instytucje targowe (znaczną ich część powstała stosunkowo niedawno), nie mówiąc już o narodzinach — niemal co roku — nowych miejsc międzynarodowych ekspozycji.

Ta hossa ma swoje podstawowe uzasadnienie: w szybkim tempie rosną obroty handlu światowego, co niewątpliwie ma związek z dalszym rozwojem krajów uprzemysłowionych i z emancypacją polityczną i gospodarczą — narodów do niedawna zacofanych. Wzrost liczby potencjalnych kontrahentów siłą rzeczy rodzi potrzebę kontaktów wielostronnych, w warunkach dogodnych dla eksponowania ofert kupna i sprzedaży, dla wyboru najlepszego partnera. Takie warunki spełnić mogą jedynie wielkie, otwarte ekspozycje targowe, a nie zacisza handlowy i kantorów.

Obroty światowego handlu zagranicznego, wyniosły ponad 382 mld. dolarów w 1965 roku, co oznacza wzrost w stosunku do roku 1950 o 257 mld. dolarów — (czyli trzykrotnie więcej).

Wprawdzie proporcjonalnie niewielki, ale charakterystyczny na tym tle udział polskiego handlu zagranicznego. Jeśli bowiem przed 20 laty (1946 r.) nasz eksport

Zbigniew Mika

Przyszłość MTP

Racja nie tylko sentymentu

Import wynosił zaledwie 1.089 mln. zł dew., to w roku 1966 osiągnęliśmy już 19.070 mln. zł dew., z czego na wywóz przypadało 8.898 mln. zł dew. Przy tym prawie połowę eksportu stanowią wyroby przemysłowe (przed wojną około 20 procent). Przeszło trzykrotnie (w latach 1950—65) wzrosły nasze obroty handlowe z krajami EWG.

Jeśli jednakże wiązać sprawy roli i pozycji Targów Poznańskich z handlem światowym, to dodać trzeba, że z ogólnych tendencji w obrotach międzynarodowych wyłania się charakterystyczne zjawisko dążności krajów zachodnich do coraz żywszych kontaktów z krajami socjalistycznymi. Uważny obserwator dostrzeże przy tym wyraźne objawy konkurencyjności pomiędzy firmami kapitalistycznymi w z a b i e g a c h o t r a n s a k c i e z krajami socjalistycznymi. To dość oczywiste, zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę, że państwa naszego bloku, są partnerami zawsze wypłacalnymi (czego nie można powiedzieć np. o niektórych krajach trzeciego świata), o możliwościach i potrzebach eksportowo-importowych, dyktowanych planowym, dynamicznym rozwojem

Zważywszy, że Targi w Poznaniu zawsze — z racji swego położenia geograficznego i pewnych tradycji — odgrywały rolę pośrednika w handlu Wschodu i Zachodu, wydaje się pewne, iż znaczenie MTP będzie rosło.

Prognoza taka oczywiście bardzo cieszy, jednakże ma ona charakter emocjonalny. W handlu tymczasem liczą się konkrety, a o tych swego czasu zapomniano. W rezultacie Targi co roku stają w obliczu poważnych kłopotów, głowiac się, jak obsłużyć wszystkich swoich — zwłaszcza stałych — klientów, którzy domagają się coraz lepszych warunków i większych stoisk ekspozycyjnych. Na tegorocznych, 36 MTP, obszerniejsze ekspozycje chcą urządzić: Austria, Belgia, CSRS Francja, Holandia, Jugosławia, NRD, Rumunia, W. Brytania i Włochy. Tylko niektórym można było przydzielić dodatkowe metry kwadratowe hal placów, między innymi dzięki temu że Francja przystąpiła do budowy własnej hali o powierzchni 1500 m.

To jest jeden aspekt potrzeb. Drugi — to życzenia wystawców krajowych. Te, w świetle rozwijającego się przemysłu i zadań w dziedzinie rozwoju handlu zagranicznego — są równie ważne. Przypomnijmy, że obecna 5-latka przewiduje wzrost eksportu i importu o co najmniej 40 procent. Przy tym pragniemy aktywizować przede wszystkim w wywóz maszyn i urządzeń, a więc dział najtrudniejszy.

W tej sytuacji Zarząd Międzynarodowych Targów Poznańskich opracował obszerny program poszerzenia terenów, który w powiązaniu z pewnymi zamierzeniami wzbogacenia za plecami miejskiego (pisaliśmy o tym oddzielnie) stanowi kompleksowy

plan rozwiązania kłopotów. Program został przyjęty przez Kolegium Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

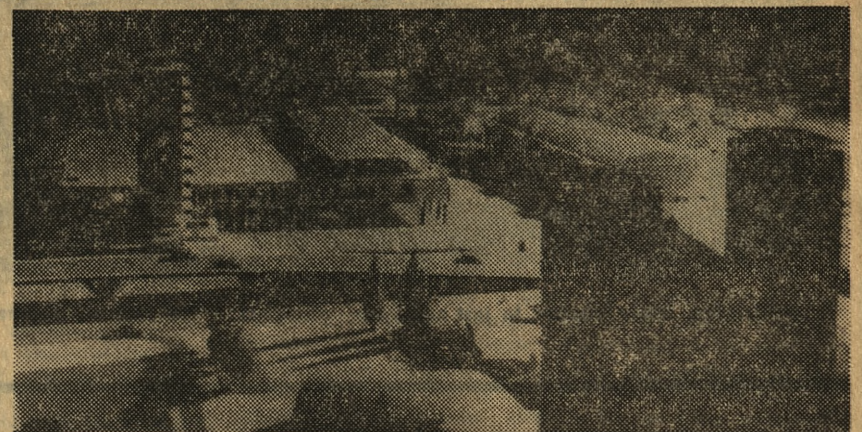
Przewiduje się, że MTP zachowają charakter targów wielobranżowych, z przewagą dóbr inwestycyjnych. Jednakże stopniowo będzie się rezygnować z narodowego układu ekspozycji na rzecz branżowego. Początek zrobiono w roku ubiegłym organizując oddzielną ekspozycję samochodów osobowych i maszyn poligraficznych.

Jeśli chodzi o zamierzenia inwestycyjne, będą one zrealizowane w dwóch etapach. W pierwszym (1967—1970) program przewiduje budowę hal dla budownictwa i chemii oraz

pawilonów obsługi wystawców i obsługi technicznej — o łącznej powierzchni 14 tys. m². W drugim etapie (1971—75) będzie się inwestować w przebudowę części północno-wschodniej (tj. wzdłuż ulic Świerczewskiego i Roosevelta). W miejsce starych hal powstaną nowe, przeznaczone dla przemysłów ciężkiego i lekkiego. Nastąpi także przebudowa pawilonu centralnego. Łącznie stanie 30 tys. m² hal i 23 tys. m² pomieszczeń usługowych.

Realizacja wszystkich zamierzeń będzie wymagała przejęcia przez MTP nowych terenów przy ul. Matejki, Grunwaldzkiej i Wojskowej oraz terenów po obecnym ZOO. Przejmowanie tych terenów i ich pełne za gospodarowanie potrwa do 1980 r. Wówczas to powierzchnia kryta ekspozycji będzie większa o 95 procent, a powierzchnia otwarta o 50 procent.

Te kosztowne inwestycje szybko się zwrócą, co niewątpliwie jest jeszcze jednym argumentem za rozbudową MTP. Wszakże tym najważniejszym zawsze będzie interes handlu zagranicznego. Dla poznaniaków istnieje jeszcze racja Targów jako czynnika miastotwórczego i racja... sentymentu.



Wizja architekta. Fragment zabudowy terenów targowych w narożniku Świerczewskiego i Roosevelta. W głębi przebudowany pawilon centralny.

Fot. J. Korpala

Chyba wytrwam

Studia chyba nigdy nie są łatwe, jeśli człowiek traktuje je poważnie. Są jednak studia po prostu trudne. To te, na które decydują się ludzie już pracujący — studia zaoczne. Ci ludzie — z konieczności — rzadko mogą być na uczelni. Poza tym pracują zawodowo; nikt nie chce, by tam swoje obowiązki wykonywali gorzej niż inni. Mają — na ogół — rodziny, zatem niemniej troski niż ci, którzy nie studiują. Tym ludziom, ich problemom, ich kłopotom, przecież nie zawsze zaleźnym od nich samych, poświęciliśmy w „Głosie Wielkopolskim” (nr 58 i 59) dwa artykuły, opatrzone wspólnym tytułem „Trudne studia”. Zanim oddamy w tej sprawie głos Czytelnikom, którzy nadesłali do redakcji swoje uwagi, obok drukujemy zapiski Zaocznika:

Pod wieczór kartka jest już prawie całkowicie pocięta. Jeszcze raz zbiegam po drabinie spraw załatwionych oraz niezadowolonych i bez większego zaskoczenia ale z niemałą irytacją stwierdzam, że krzyżyk postawiłem przy niewielu pozycjach. Rudika przepisuję już chyba trzeci tydzień. Każdą razową na dzień następny. Konferencje: 1, 2, 3 — zaliczone. Specjalista ortopeda przyjmuje dzieci... tego nie zdążyłem się jeszcze dowiedzieć. A przecież wystarczy tylko wykreślić odpowiedni numer i zapytać przez telefon. To takie proste. Jest wiele innych spraw równie prostych a jednak. Na przykład ten Rudik. Książka tego autora o psychologii sportu wiś nade mną jak miecz Damoklesa. W bibliotece uczelnianej jest, ale brak mi wolnych godzin. Znajdę je dopiero w nocy. Tymczasem na biurku leży kartka, z której wynika że termin oddania pracy kontrolnej tuż, tuż.

Jest. Nareszcie dotarłem do Rudika. Dostałem go na 24 godziny bo kołejka spora. Jakakolwiek nawalanka przekreśla możliwość innych wymin. Mam więc pod pachą psychologię sportu, a w ręku... notę służbową wzywającą na dwudniowe seminarium do Kazimierza. Co robić? Oddać podręcznik, nie dotrzymać terminu pracy kontrolnej, narazić się dziekanowi? To już drugie w tym roku naciąganie struny, która może pęknąć i zgodnie z regulaminem stu-

diów zaocznych — kosztować semestr. A może wejść w konflikt z szefem. Nie wypełniając zadań służbowych?

—Tatusiu, druhna powiedziała, że jutro musimy mieć granatowe berety, że to już ostateczny termin a mamusia nie może z nami wyjść, bo jest chora. Może ty kupisz? Dobrze. Kupię jeszcze dzisiaj. Po dwóch godzinach okazało się, że w sklepach harcerskich takiego lukusu nie ma, a w pozostałych sprzedają nakrycia głowy tylko dla krasnoludków. Dzięki handlowcom mam w nogach kilka kilometrów, jak znalazł na niedzielną konsultację z lekkością atletyki, szczególnie na te zajęcia, które nazywane są zwiedzaniem terenów budowy nowego gmachu WSWF przy ulicy Bema. Rozgrzewka, a potem rozgryzanie tajemnicy o brayenowskiego stylu w pchnięciu kulą. Początkowo kulą nami miota. Potem dwutakt z biegu i z miejsca pod koszem a na Grunwaldzkiej w zakładzie fizjologii czekają zaby do wiwisekcji. Za jej pomocą filozofii ukoronują program kolejnej niedzieli. Ostatni uczestnicy konsultacji dotrą do domów o północy.

Przez dwa tygodnie będziemy sobą. Nauczyciele będą wydawać komendy i egzekwować wiedzę uczniów (większość z nich jest po studiach na uczelniach), pracownicy komitetów kultury fizycznej wrócą do inwestycji, spartakiad, sportu kwalifi-

fikowanego i masowego, turystyki i wszystkich, co się w tym worku KKF-owskim znajduje, trenerzy naniósł poprawki do swoich programów treningowych, uwzględniając najnowsze (wycytane lub podpatrzone na zajęciach) formy rozgrzewki. Aż przyjdzie dzień, w którym znowu poczują się studentami.

Obowiązki zawodowe i kłopoty rodzinne przestają istnieć wraz z pierwszymi słowami wykładów. Tu się liczy każde słowo. Im szybciej pracuje pióro, tym mniej szukania dziur w prześladowanym programie codziennych zajęć, potrzebnych na znalezienie kilku nierzadych w literaturze uzupełniających. Zaocznicy, tu na uczelni, różnią się od stacjonarnych chłonnością na wykładach wcześniejszą metryką urodzenia często rzadszym owłosieniem. Poza tym są takimi samymi studentami.

Nieobca jest im gorączka przedegzaminacyjna, gielda na korytarzu, żargon ze słynnym pierwszym czy drugim spalonym podejściem (termin trafnie zapożyczony z dźwigania ciężarów — sic!). Są często równie bezradni przy tablicy jak dzieci, które jeszcze wczoraj sami egzaminowali i czekają na jedno zbawienne nierzad słowo, pozwalające na start do obszerniejszej relacji z opisanego materiału.

Studenci zaoczni najbardziej chyba przeżywają zapis w indeksie. Stacjonarny pojedzie do domu podczas ferii i na wszelki wypadek „zapomni” zabrać indeks z niekorzystnymi

ocenami. Zaocznik rozlicza się na bieżąco. Na egzamin dostał delegację służbową i kierownik czeka nie tylko na rozliczenie kosztów podróży, ale także jej efektów. Na indeks tatusia często czeka córka, która tego samego dnia zarobiła piątkę w szkole. Czekają żony. Pokaż im dwójke! Jeszcze kilka nocy może człowiek uratować przed tą przykrą perspektywą. Po trzech latach nie liczy się już nieprzespanych tygodni.

Zakończenie mięśnia obłego mniej szego na guzku większym czy mniejszym — nie może przysłużyć leninowskiej teorii odbicia w filozofii, a metodyka nauczania ruchów ciała przy pływaniu delfinem — podzielnosci uwagi w psychologii. Wszystko razem wzięte nie powinno i nie może przeszkadzać w wykonywaniu obowiązków służbowych i prawidłowym funkcjonowaniu rodziny. A praca społeczna? Chwilami przychodzi załamanie. — Może to wszystko rzucić? Takie myśli załatwiane są jednak odmownie, równie szybko jak przyszły. Szkoda tamtych lat. Słabsi już dawno odpadli. Może serio potraktować podręcznik o higienie pracy umysłowej?

Po maturze wielu młodych z góry zakłada: po co się wysilać. Nie zdalem wstępnego — pójdę do pracy i studiować będę zaocznie. Spróbuj! Dopracujesz się chyba dyplomem, jak tysiące innych. Ale jakim kosztem — tylko ty będziesz wiedział.

ZAOCZNIK

Maciej Olszewski

Przed pół wiekiem

Sięgnijmy po numery archiwalne prasy poznańskiej

Zobaczmy co pisała w marcu 1917 roku

armii, zostali już do maksimum przerzedzeni szeregi Wielkopolan, że także oni zmuszeni byli uczestniczyć w znaganiach za obcą sprawę, przemycane były w rubryce... teatralnej. Np. „Dziennik Poznański” podkreślał 11 marca:

„Układ repertuaru sprawia kierownictwu naszej sceny w czasie obecnym niemałe trudności z powodu braku wykonawców męskich (...). Wystawiony wczoraj utwór Gabryeli Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej” posiada tę właśnie szczególną zaletę, że potrzeba tylko dwóch wykonawców ról męskich”.

Początek już po tygodniu (18. 3.) — donosząc o premierze „trzyaktowej komedii spółki autorskiej Engla i Horsta” pod niemal symbolicznym tytułem „Świat bez mężczyzn” — „Dziennik” podkreślał ponownie, iż

„Przedstawienie wczorajsze wykazało, że mimo dotkliwego ubytku wykonawców ról męskich, są jeszcze sztuki, które grać można”. Nie brakuje natomiast informacji świadczących o coraz bardziej nasilającym się kryzy-

sie, toczącym gospodarkę goniącej już resztkami Rzeszy. O ile więc w lutym zostały wydane rozporządzenia w sprawie konfiskaty dzwonów kościelnych, a także wszelkich przedmiotów mosiężnych i miedzianych, zaś z dniem ostatniego lutego zaprzestano sprzedaży węgla — w ciągu marca „Dziennik Poznański” donosił m. in.

— 11. 3. „Zamknięcie fabryk obuwniczych (...) jest w toku i zarządzane zostanie w końcu tego tygodnia (...). Jako wstęp do tego zarządzenia nastąpi w dniu 12 bm. SKONSTANTOWANIE ZAPASÓW obuwniczych w całych Niemczech”.

— 25. 3. — „Zakaz sprzedaży nafty. Na mocy rozporządzenia kanclerza nie wolno sprzedawać (...) nafty od 1 kwietnia do 31 sierpnia.

— 28. 3. — „Wywłaszczenie aluminium. Magistrat raz jeszcze przypomina, że do dnia 31 marca zgłosić należy wszelkie przedmioty aluminiowe, również z domów prywatnych (...).

Kto się nie zastosuje do wezwania, będzie karany”.

I choć w Poznaniu, będącym spichlerzem państwa zaborczego, mniej niż gdzie indziej odczuwano narastanie głodu, także tu ten trzeci wojenny marzec przyniósł ograniczenia kartkowych przedziałów.

11 marca „Dziennik Poznański” poinformował:

„Ta sama ilość mięsa — mniej masła. Magistrat ogłasza, że w przyszłym tygodniu przypada znowu na osobę 250 gramów mięsa z kośćmi (...). Natomiast ilość masła obniżona z 60 na 50 gramów na osobę”. Początek 24 marca zapowiedział także „Obniżenie racji chleba (...) o jedną czwartą”.

Coraz bardziej też mnożyły się doniesienia o przestępstwach gospodarczych. Np. 11 marca „Dziennik Poznański” w swej kronice sądowej informował, że „właściciel mleczarni Ulryk Monn (...) skazany został za dolewanie do 70 procent wody do mleka na 9 miesięcy więzienia”. Natomiast 28 marca zapowiadał nawet „Proces hr. Ignacego Mielżyńskiego (...) z Iwna, oskarżonego o przekraczanie cen maksymalnych przy sprzedaży zboża”.

Zima była sroga, uporczywa.

24 marca „Postę”, odnotowując: „Dzisiaj mieliśmy 6 stopni mrozu, obecnie w południe jest 5 stopni” — zarazem zamieścił

Ciąg dalszy na str. 4

Wielkopolska w marcu 1917

Niewiele też prasa poznańska mogła pisać o następstwach tej wojny, prowadzonej przez państwo zaborcze, dla samej Wielkopolski. Lecz ślady informacji o tym, iż w wyniku mobilizacji do obcej

Z Poznania do Śremu jest 46 kilometrów, lecz wszystkie połączenia są nieco okólnie. Pociągami na Kościan z przesiadką w Czempińu, jedzie się 102 minuty. Autobusem — przez Kórnik — 60 minut. Miałem więc czas na rozmyślanie.

W Wielkopolsce, po wyzwoleniu, najszybciej rozwijał się przemysł budowy maszyn, środków transportu i metalowy. Nowe fabryki rosły niczym grzyby po deszczu. Wszystkie one zaczęły wołać wielkim głosem o odlew. Rozpoczęliśmy wtedy na gwałt rozbudowywać odlewnie w „Pomocinie”, w Rawiczu, w Drawskim Młynie i w Krotoszynie. Jednak i one nie zaspokajały potrzeb. Sytuacja stała się krytyczna z chwilą, gdy „Cegielski”, z parowozów przestawił się na produkcję silników, i wkrótce wyrósł w tej „ran-ży na czwartą potęgę w Europie; teraz zaczął bowiem pożerać całe po-ciągi odlewów rocznie.

Decyzja zapadła jesienią 1964 roku. Władze centralne postanowiły wybudować w pobliżu Poznania dużą odlewnię, która przynajmniej na pewien czas powinna zaspokoić po-

Piotr Chojnacki

500 TRUDNYCH DNI ŚREMU

trzeby okolicznych fabryk, a przede wszystkim „Cegielskiego”. Jemu też powierzono funkcję inwestora budowy.

Poszukując miejsca pod budowę wybrano Śrem. Ten rejon Wielkopolski był bowiem słabo uprzemysłowiony i posiadał spore nadwyżki siły roboczej. Poza tym zaważyły także argumenty jak bliskość Poznania, obfitość wody, szczupłość kosztów — ale już istniejące urządzenia komunalne w Śremie: kanalizacja, wodociągi, gazownia itp.

Wielka budowa wyraźnie ożywiła to miasto. Rynek zamieniono w dworzec autobusowy, przyjmujący dziennie ponad 200 pojazdów. Wąskie uliczki z trudem mieszczą wzmożony ruch. Niektóre z nich rozko-

pane; zakłada się przewody i buduje nowy kolektor. Zjechała też ekipa Płockiego Przedsiębiorstwa Robotów Mostowych i angażuje ludzi do budowy nowego mostu na Warcie; stary most, drewniany, już ledwie dyszy.

Odlewnia powstaje za miastem. Nie pada, więc decyduję się na spacer. Do granicy miasta wędruje, widząc niedawno położony, szeroki chodnik. Urywa się jednak kilkaset metrów przed celem. Drepcę więc dalej błotnistym poboczem drogi i rozglądam po okolicy. Obiecanego przystanku: Śrem — Odlewnia — jeszcze nie ma...

Jeszcze raz wyławiam z pamięci podstawowe dane o tej inwestycji. Rozpoczęta w 1964 roku, ma kosztować ponad 1,2 miliarda złotych, zatrudniać około 4000 ludzi i dawać 65 tysięcy ton odlewów rocznie. Pierwsza produkcja — w III kwartale przyszłego roku.

Z przepustką w ręku przekraczam bramę. Na lewo widzę „budowlany” sklepik z artykułami spożywczymi. Na prawo — kioski „Ruchu”, tuż za nim malarze wykańczają stołówkę. Nieco w głębi — biały baraczek kierownictwa budowy, na nim znak czerwonego krzyża, szklany organizator związku i partyjnej. Takie maleńkie „city”. W sionce baraku — skrzynka na VII plenum wnioski i duży ręcznie malowany afisz informujący o tym, że budowniczość centralnej wytopialni i odlewni „D” z okazji zbliżających się VII Kongresu Związków Zawodowych i 50 rocznicy Rewolucji, wzywają inne zespoły do współzawodnictwa w skracaniu cyklu robót.

W skromnie urządzonej sali radą zakładowej mężczyzna w białym kitlu opowiada przewodniczącemu o tym, że na budowie, przy silnym wietrze, robotników częściej bolała zęby. Co rusz któryś wypuszcza się do miasta do dentysty i maruje czas w ogonku, a robota stoi. Tymczasem na budowie jest kompletnie urządzone gabinet dentystyczny, lecz bez lekarza. Trzeba monitorować w Wydziale Zdrowia...

Za chwilę wchodzi nowy petent, po legitymację związkową, bo zwalnia się z pracy. Jest rzemieślnikiem, blacharzem, pochodzi z Koła. Pytałem dlaczego odchodzi?

Odpowiada, że już go ten bałagan zmęczył. On chce robić i zarobić. Tymczasem stale musi dopraszać się o robotę. Ostatnio przez miesiąc pracował przy kanale. Ponieważ trafia mu się stała praca blacharska w Kole, więc wraca do domu.

Spojrzałem na przewodniczącego. Niewyraźna miał minę, skierowałem więc rozmowę na związkowe zebrania. O czym na nich się mówi? Robotnicy najczęściej narzekają na biuro, na brak mieszkań, na niedostatki w zaopatrzeniu i komunikacji. Na biuro nie ma rady, mimo odgarniania go z dróg spychaczami. Program budowy mieszkań nie nadąża za potrzebami kadrowymi inwestycji. Zao-
patwienie ulega stałej poprawie. Gdy ruszy stołówka będą i gorące obiady po 7—8 złotych. A komunikacja? Tak, ta jest nadal problemem. PKS uparczywie limituje sprzedaż miesięcznych biletów pracowników co niesłychanie utrudnia życie.

Czy zdążą do 22 Lipca ukończyć I etap?

Z robotami murowymi kłopotów być raczej nie powinno. Gorzej z montażem urządzeń. Cała śremska odlewnia to jeden wielki prototyp. Mogą więc wyskoczyć niespodzianki.

Wychodzimy na budowę. Przewodniczący rady, śremski — Kazimierz Chmura pracuje tu od początku. Opowiada: Budowa zajmuje powierzchnię kilkaset tys. m². Najpierw zbudowaliśmy ogrodzenie, bocznicę kolejową i betonową okrężną drogę.

Tą drogą właśnie idziemy. Po lewej stronie widać wykończony już zewnętrznie obiekt wielkości „Wiepofamy”, z podobnym biurowcem z frontu. To jeden tylko dział usługowy odlewni: głównego mechanika. Po prawej wysoka na 10 pięter hala, tak duża jak poznański Plac Wolności. To odlewnia „D”. Przy niej, mają stanąć dwie następne: „A” i „B”. Poprzecznie do frontu tych trzech odlewni wznosi się już maszynowy, betonowy kołos. To centralna wytopialnia — serce przyszłej odlewni. Przy niej wystają z ziemi zbiorniki zasobników wsadowych, na oko podobnych do poznańskiego „okrągłaka”. Nieco z boku — już pod dachem i oszklone — elektrociepłownia i inne budynki zaplecza technicznego.

Wchodzimy do odlewni „D”. Właśnie betonują kanały wentylacyjne. Na nie położona będzie posadzka. Każdy taki kanał — wygląda jak tunel kolei średnicowej w Warszawie i łatwo zmieścić w sobie lokomotywę z paroma wagonami. W jednym miejscu wykop odkrył blok betonu. Przewodniczący opowiada, że to „szklanka”. Cała odlewnia posadzona jest na takich „szklankach”, czyli wpuszczonych 6 metrów w ziemię blokach z betonu.

Idziemy do brygady zbrojącej siłosi. Ludzie w waczkach pochodzą z Ostrzeszowa. Mieszkają w hotelu robotniczym. Kiedy jeżdżą do domu? Raz w miesiącu, po wypłacie, bo połączenie kolejowe marne. Sama podróż zajmuje dobę. Co robią wieczorami? — E, wieczorem to już nie sie nie chce. Przyjechalibyśmy tu zarobić. Pracujemy w nadgodzinach, bo ludzi mało, a nam to na rękę.

Na koniec zachodzimy do głównego inżyniera budowy z ramienia Poznańskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego — Bogusława Otłewskiego. Znowu pytam: zdążycie do 22 lipca?

— Robimy wszystko co w naszej mocy dla przyspieszenia budowy — odpowiada. Czy nam się uda? — Nie wiem. Zbyt wiele jest niewiadomych. Inwestycja prototypowa.

Największym problemem są ludzie, terminowy wpływ dokumentacji i urządzeń oraz koordynacja budowy wszystkich urządzeń. A wbrew pozorom w Śremie ludzi brak mimo, że zarobki na budowie są niezłe. Większość dotychczas tu zatrudnionych pochodzi z Śremu. W tej chwili, budowie potrzebnych jest 100 pracowników. Można ich dostać ale dalej, w rejonie Książa lub Jerki. Lecz właśnie tam komunikacja jest najgorsza.

Z dokumentacją też nie jest najlepiej. Jedna tylko przepompownia wody przemysłowej z jeziora ma już, z tego powodu, roczne opóźnienie. A odlewnia bez wody nie ruszy. Duże kłopoty są z dostawami energii elektrycznej itd. To wszystko wymaga koordynacji, a główny wykonawca nie zawsze ma możliwość egzekwowania zobowiązań.

Szybko minął dzień. Uprzejmy inżynier odwiózł mnie do miasta. Jeszcze wizyta w Komitecie Powiatowym partii, garść informacji o budowie nowych dróg, obiad, i znowu siedzę w autobusie.

Sumuję wrażenia. I jeśli by ktoś zapytał mnie czy odlewnia ruszy 22 Lipca 1968 roku? — nie umiałbym odpowiedzieć.

Generał znany i bliski

Dokończenie ze str. 1

Tylko, żeby się nie zniszczyło, bo to droga dla nas pamiętka!

— A co robią dzisiaj gospodarze widoczni na tym zdjęciu?

— Wielu już na emeryturze. Kilku nie żyje. Ci trzej, siedzący naprzeciw generała Świerczewskiego, to Leon Stefański — obecnie oborowy w Żydowie. Sylwester Bigosiński — kowal w Kosmowie i Jan Buczkowski — magazynier spółdzielni produkcyjnej w Nidomiu. — Przez Nidom musicie wracać — możecie do Buczkowskiego wstąpić.

Wstąpiliśmy. Ale zanim trafiliśmy do Nidomia, natknęliśmy się zupełnie przypadkowo na jeszcze jeden żywy ślad gnieźnieńskich dni generała „Waltera”.

Zajęci gawędą, przejechaliśmy Nidom i, zorientowawszy się, że źle jedziemy, zagałneliśmy stojącego w polu starszego człowieka — o drogie. Jak się okazało, był to emeryt z PGR Malczewo — Stefan Zakrzewicz, który przyszedł sprawdzić czy „dobrze chłopaki nawóz rozsiewają”. Od słowa do słowa i wyszła na jaw, że Stefan Zakrzewicz odebrał w 1946 r. akt własności ziemi właśnie z rąk Karola Świerczewskiego.

— Póki mi sił starczyło, gospodarzyłem na swoim, ale 5 lat temu.

kiedy powstała Państwowe Gospodarstwo Rolne w Malczewie, przekazałem ziemię PGR-owi. Jestem na emeryturze, ale jeszcze stróżuję w PGR-ze. Bo, choć to nie moje, ale przecież nasze. Pilnować trzeba, żeby wszystko było w porządku. Generał Świerczewski nam wtedy mówił, że to nasza ziemia, bo na niej żęmy pracowali, i my, i nasi ojcowie. To był mądry człowiek. A ile nawojował, ile biedy ludzkiej widział. Sam o tym wszystkim opowiadał.

— Generał Świerczewski umiał ciekawie opowiadać — potwierdza opinie Stefana Krzyckiego — Jan Bukowski, którego zastaliśmy w magazynie spółdzielni produkcyjnej w Nidomiu. — Dzisiaj — mówi — wiem, że była w tych opowiadaniach idea partii, przekazywana nam w sposób prosty — kawalkiem własnego życia i sumą własnych doświadczeń. Z podziwu nie mogliśmy wtedy wyjść, że generał, a taki swojski. Jak by się wśród nas urodził.

W drodze do Poznania jeszcze raz obejrzelśmy sobie z Felkiem otrzymane w Czarniejewie zdjęcie.

— Widać, że chłop był serdeczny — powiedział Felek. — Nic dziwnego, że tak go pamiętają.

BARBARA MOSIĘŻNA



Przed pół wiekiem

Ciąg dalszy ze str. 3

zrymowany przez niejakiego „Trzmieła”... „Apel do św. Piotra”, zawierający pretensje nie tylko pod adresem niebios:

„Trzeci dzień wiosny w mrozie i śniegu, Czyliż słoneczko stało w biegu? Czy Piotr się zmylił w rachubie czasu, że tyle robi nam ambarasu? Chciej święty Piotrze, pojąć pomału, że nam tu strasznie braknie opału, że obłożone aresztem buty!

Nic nie pomogło. Węgla dla cywilów nie było, niedostatek butów wkrótce mieli odczuć, nawet posyłani na rzeź poddani kajzera. Prasa poznańska odnotowywała temperatury poniżej zera jeszcze przez następne 10 dni. Aż po 5 kwietnia 1917 roku kiedy to wiadomość, iż „Ameryka wypowiedziała wojnę Niemcom!” — zwiastowała nowy, w pełni już światowy, etap trwającej wojny.

„Przykład Rosji”

Już uprzednio wskazywało — właśnie w marcu 1917 roku — najważniejszym rejonem ogarniętej płomieniami wojny kuli ziemskiej, rejonem najbardziej budzącym nadzieje na pokój i zapowiadającym erę społecznych

przemian — stała się Rosja. Ponieważ oddzielała ją od Poznańskiego m. in. linia frontu, jeszcze w początkach marca nie zdawano sobie sprawy nad Wartą, iż dni caratu są już policzone. Z poważnym opóźnieniem dotarła do Poznania także wiadomość o rewolucyjnym wstrząsie, który 12 marca zdruzgotał despotyzm. Ponadto zapoczątkował na terenie rozległego imperium dalsze spotęgowanie rewolucyjnej walki mas uwiecznionej pod wodzą Lenina, obaleniem już w osiem miesięcy później także tymczasowych rządów burżuazji; pałdziernikowym zwycięstwem idei socjalizmu, pokoju, wolności narodów.

Dopiero w piątek, 16 marca dzienniki poznańskie zamieściły następujące doniesienie „Piotrogradzkiej Agencji Telegraficznej”:

„Piotrogród, 14 marca. W Piotrogradzie wybuchła rewolucja. Komitet wykonawczy, złożony z 12 członków Dumy, jest w posiadaniu władzy. Załoga stolicy w sile 30 000 ludzi połączyła się z rewolucjonistami. W ubiegły czwartek, w trzecim dniu rewolucji, przywrócono porządek w stolicy...”

„Dziennik Poznański” zamieścił taki własny komentarz:

„Od dość już dawna, a właściwie od pierwszej chwili obecnej wojny, przewidywano wybuch wewnętrznych niepokojów w Rosji. Dopiero jednak teraz zaczynają się stwierdzać przepowiednie (...).

Trudno oczywiście dzisiaj przewidywać, czy i o ile niepokoje wewnętrzne w Rosji wpłyną na dalszy bieg wojny, czy mianowicie wywołają mniej lub więcej zasadniczą zmianę w polityce zagranicznej tego państwa. W każdym razie jest to fakt, z którym liczyć się należy bardzo poważnie”.

W miarę też, jak napływały szczegółowsze informacje, komentarze zaczęły coraz bardziej podkreślać aktywność mas ludowych, a w związku z tym możliwość przeroznięcia dotychczasowej „pokojowej” rewolucji burżuazji, w bardziej radykalną społecznie, o wyraźnej antywojennym ostrzu. Tak np. cytowany powyżej „Dziennik Poznański” zauważył już 18 marca:

„Z Wiednia donoszą, że żołnierze rosyjscy w rowach strzeleckich na froncie rosyjsko-austriackim, na wieść o rewolucji w Piotrogradzie, wznosili okrzyki radości. Dowodziłoby to, że rewolucja i wśród wojska cieszy się popularnością (...). Nielatwe zadanie oczekuje nowy gabinet (...) ze strony (...) ludności wielkich miast, która nie mała przyczyniła się do zwycięstwa rewolucji, a której niezadowolone (...) zwrócić się może przeciwko dzisiejszym władcom. Jest to w ogóle pięta achillesowa nowego rządu, że (...) zawdzięcza on swe istnienie poparciu mas, które nierzadko będzie utrzymywać w kłóbach spokoju i postępowania”.

Również 20. 3. — choć doniesienia Rządu Tymczasowego zapewniły o stabilizacji jego autorytetu, „Dziennik” pisał:

„Niewątpliwym jest wszakże, że krater wulkanu rosyjskiego otworzyły się napraw-

dę (...). Tam wstrząsnęło się społeczeństwo, do głębi oburzone wyzyskiem, niedołęstwem, zaślepieniem, samochwalstwem”.

Docierające do poznańskich redakcji wiadomości z Piotrogradu (jedynie w „Kurierze Poznańskim” podrzynano tradycję nazywania go „Petersburgiem”), nie „grzeszyły” wprawdzie sumiennością. Dodatkowo zaciemniało je nieprecyzyjne nazewnictwo, w którym jeszcze brakowało np. coraz ważniejszego terminu „rady robotnicze”. Podobnie też, nie określano jeszcze najważniejszego, najbardziej rewolucyjnego nurtu ruchu robotniczego jako bolszewicki, czasami próbując go nazywać anarchistycznym. Mimo to stosunkowo wcześniej zaczął się zarysowywać w doniesieniach z Piotrogradu obraz konfliktowej dwuwładzy: Rządu Tymczasowego oraz Rad Robotniczych i Żołnierskich. Np. 21. 3. przekazywał czytelnikom „Kurier Poznański”:

„Wynika, że 12 marca ustanowiono w Petersburgu dwa wydziały rewolucyjne: Wydział Wykonawczy Dumy i Zgromadzenie Robotników Petersburskich. Między oboma dwoma doszło do konfliktu, raz w poniedziałek, gdy Wydział postanowił nawiązać z carem rokowania, a następnie w środę lub w czwartek, gdy większość Dumy, w dążeniu do energiczniejszej polityki wojennej, zamierzała zamianować carem syna cara. W obu razach Wydział Dumy musiał ustąpić Wydziałowi Robotniczemu (...). Ostatnie wiadomości z Petersburga wykazują wyraźnie, że rząd Dumy

DRZĄGOWO BEZ KOMPLEKSÓW

Mieszkańcy Drzągowa mówią o sobie, że w ciągu ćwierćwiecza przebyli drogę od feudalizmu do socjalizmu. Jest w słowach tych szczerą prawdą, bowiem przed niespełna 30 laty żyli tu jeszcze jak feudalni poddani pana hrabiego Bnińskiego. Tuż po zakończeniu wojny, fornałe z dziada pradziada podzielił między siebie pańską ziemię. Było to wówczas coś tak niezwykłego, że starzy ludzie uważali ten czyn niemal za świętokradztwo i żegnali się mówiąc, iż świat staje na głowie.

Reforma rolna rozpoczęła w Drzągowie spótnoną o półtora wieku epokę „kapitalistyczną”. Dawni fornałe, stangreci i wyrobnicy stali się nagle posiadaczami. Nawyki jednak od pokoleń do swojej fornałskiej wspólnoty, po niespełna 10 latach indywidualnego gospodarowania założyli spółdzielnię produkcyjną. Ale ta forma nie wytrzymała u nich próby życia. Od paru lat Drzągowo jest zakładem PGR, wchodzącym w skład Przedsiębiorstwa Gultowy.

Od warszawskiej szosy do zabudowań PGR wiedzie czterokilometrowy odcinek drogi, zwanej tutaj „drogą Tysiąclecia”. Niejeden poznaniak uśmiechnąłby się może z dozą lekceważenia na taką „tysiąclatkę”. Bo ani to asfalt, ani kostka. Ot, zwykła, żułówka.

Henryk Jaśkowiak, kierownik a zarazem jedyny nauczyciel drzągowskiej szkoły wyjaśnia, że droga, budowana w Czylinie Tysiąclecia przez 350 mieszkańców Drzągowa, oszacowana została na 800 tysięcy złotych, nie licząc żużlu. — To tak — obliczam w myśli — jakby mieszkancy Poznania zbudowali własnymi rękami Trasę Chwaliszewska, a może i to nie oddałoby jeszcze właściwych proporcji ludzkiego wysiłku.

Po chwili zatrzymujemy się przed niewielkim budynkiem szkolnym. Obelisk z wmurowaną tablicą od Związku Nauczycielstwa Polskiego informuje, że tu urodził się Ewaryst Estkowski — teoretyk polskiej postępowej myśli pedagogicznej i szermierz oświaty ludowej pierwszej połowy XIX wieku.

Przypomnienie tej postaci ma dla nas znaczenie symbolu. Za chwilę mamy być bowiem świadkami pierwszej w dziejach tej wsi „Olimpiady wiedzy”, zamykającej jesiennozimowy sezon szkoleniowy miejscowego koła Związku Młodzieży Wiejskiej. Program nauki obejmował cztery cykle tematyczne: „Świat się zmienia”, „Kraj się zmienia”, „Wies się zmienia”, „Zmieniamy się my”.

Salka Klubu Rolnika z trudem mogła pomieścić zebranych. Wśród zgromadzonej młodzieży zasiadli również rodzice, ciekawi popisów dzieci. Impreza została przygotowana według wszelkich reguł telewizyjnej „Wielkiej gry”. Na tablicy wypisano dużymi literami nazwiska siedmiu zawodników, stojących w szranki o tytuł miejscowego mistrza wiedzy.

Padają pierwsze pytania i pierwsze oklaski, kwitujące trafne odpowiedzi. Obok nazwisk zawodników zmieniają się co chwila liczby zdobytych punktów. Z biegiem czasu atmosfera w sali staje się coraz bardziej napięta. Wiadomo już, że poziom jest wyrównany i trudno będzie wyłonić zwycięzcę. Po dwóch

godzinach zmagania na placu boju pozostała trójka zawodników z jednakową liczbą punktów. Jury jest w poważnym kłopotcie, bowiem wyzerpani zostali zestaw pytań. Wyszukuje więc specjalnie trudne tematy i wymaga odpowiedzi „na czas”. Gdy i to nie pomaga — proponuje się, aby trójka sama wyłoniła spośród siebie zwycięzcę drogą losowania. Audytorium gwałtownie protestuje.

— Dajmy im prawdziwe szanse! Niech walczą aż do skutku! — padają głosy z sali. Również zawodnicy nie godzą się na to, by o pierwszeństwie miał zdecydować ślepy traf.

Ostatecznie Henryk Pacyna eliminuje z walki swoich rywali — Jana Adamskiego i Bernarda Prusakiewicza. Sala aż huczy od oklasków na cześć zwycięzcy, który broń będzie barw wsi na eliminacjach powiatowych. Przewodniczący jury — Franciszek Jasiński, wręcza uczestnikom olimpiady nagrody i upominki, ufundowane przez Radę Zakładową przedsiębiorstwa PGR.

Impreza dobiegła końca, lecz jej uczestnicy, mimo późnej godziny, nie spieszą z odejściem do domów. Przy kawie i ciastkach odtwarzano raz jeszcze przebieg olimpiady. Oceniło poziom odpowiedzi, postawę zawodników, pracę jury. Spierano się, kto był najlepiej przygotowany, kto zaś miał szczęście wyciągnąć łatwiejsze pytania. W Drzągowie nauczono się bowiem cenić wiedzę wysoko. Poziom umiejętności ogólnych i zawodowych określa autorytet i prestiż jednostki w oczach środowiska. Starsi powtarzają więc swym dzieciom: — Ucz się synu (córkę), korzystaj z tego, co dla nas było niedostępne.

Gospodarstwo posiada coraz więcej i doskonalszych maszyn. Przy słoście należy do tych, którzy będą umieli się nimi posługiwać — przypomina młodym kierownictwo PGR.

Wiele młodzi zdobywają na różnych kursach i w szkołach kwalifikacje traktorzystów, mechaników, kombajnów, budowlanych. W PGR czeka bowiem na nich praca, mogąca zaspokoić ambicje i dążenia do nowoczesności i wielkiej techniki. Nawet w oborze bliższy neonowe światło, zaś hodowcy pełnią swoje obowiązki ubrani w białe fartuchy.

Dlatego tutejsza młodzież ani myśli oglądać się na miasto. Wie, że nowoczesnie, kulturalnie i ciekawie można żyć i pracować również na wsi. Już dziś Drzągowo jest tego wymownym przykładem. Prawie co druga rodzina posiada telewizor, nie mówiąc o motocyklach. Do roku 1970 wszyscy pracownicy mieszkać będą w warunkach, odpowiadających dobremu standardowi miejskiemu.

W Drzągowie spędziłem zaledwie jeden wieczór. Zbyt krótki to czas, by poznać treść i smak życia tutejszych ludzi, którzy zmieniając swój warsztat pracy i swoją wiedzę — zmieniają również siebie. Wieczór ten wystarczył jednak, by dojrzeć coś więcej, niż można to było zamknąć w doraźnej, reporterskiej noticie.

Już widzę ten uśmiech na Waszych twarzach. — Co jak co, ale pić to my umiemy — powiecie. Otóż ja właśnie twierdzę, że nie... Mowa tu bowiem będzie nie tylko o wódce.

Zresztą, czy my wódkę rzeczywiście umiemy pić? Nieodrodnym synem tej ziemi jestem, więc muszę przyznać, że za kółkiem nie wylewam. Ja i goście moi bywamy jednak dobrego zdrowia w dzień następny, oni zazwyczaj pytają podchwyliwie co to była za wódka, bo nie mieli żadnego kaca. Wódka była zwyczajna. Za to kieliszki — niezwykle, małe. Przechowyuję to drobne szkło jak srebra rodzinne, bo dotychczas do wyjątkowego szczęścia zaliczyć trzeba możliwość kupna małych kieliszków na użytek domowy.

W restauracji przyzwyczajony kelner przynosi pocztówkę „pięćdziesiątkę”, jeśli tylko nie mamy życzenia na więcej. Zalewamy się więc w domu i w knajpie skutecznie i błyskawicznie. Więc jak: umiemy pić? Owszem, umiemy — zawsze „do oporu”...

— Zlikwidowaliby wreszcie te kioski z piwem — usłyszałem raz na przystanku tramwajowym z ust dwu oburzonych pań. — Toż to siedlisko nieustannego pijaństwa, awantur. I jak można pić taką obrzydliwość na ulicy, prosto z butelki?

Panie miały w pewnym sensie rację. Na całym świecie piwo pije się w piwiarniach, restauracjach i kawiarniach. Wie o tym każdy Czech, Niemiec, Szwajcar, czy Anglik, A Po jak? O, zmyślno to czek, on wie dobrze, że piwo zimne musi być ciepłe, najlepiej z cukrem, lub zimne — z solą. Latem nie skrzywi się więc, gdy nawet dostanie w kiosku zletniałą lurę. Gotów wypić ją prosto z butelki, byle tylko „utrwalić” wódeczany trans, w jaki popadł w... barze.

Owe dwie panie miały więc rację. Co jednak proponują w zamian za zlikwidowanie kiosku z piwem? Prohibicję, całkowity zakaz sprzedaży? Nie jest to rozwiązanie problemu alkoholizmu. Ludzie nie umieją pić, bo też nikt nie uczy ich kultury picia. Nie stwarza takich warunków kiosk, oferujący piwo prosto z flachy i pozbawiony elementarnych urządzeń sanitarnych, ani nie gwarantuje tej kultury personel, skryty za kratką okienka i wybyty skrupułów obsługiwania podchmielonych gości. Właściwie to przechodniów, rzecz się bowiem dzieje na ulicy.

Ja sam... Wstyd mówić o tym, ale czek czuje się jak alkoholik: kiedy w restauracji prosi skromnie przy stoliku o zimne piwo widzi, że się to nikomu nie podoba. Gościom — bo zajmuje wolny stolik, personelowi — bo to tylko zamówienie za kilka złotych. Jeszcze gorzej w kawiarni, tam znów nie podają piwa, przynajmniej taniego. Nie wypada im, czy też walczą z alkoholizmem?

Wspomniane dwie panie mogą nie widzieć problemu braku elementarnej kultury picia piwa, byłoby zaszkokowane widząc w Berlinie, czy Pradze matrony w swoim wieku — przy dużym jasnym. No tak, ale tam dla konsumpcji tego napoju stwo-

Zbilut Sęk

Małe jasne i duża czarna

rzono specjalne lokale! Poznań, gościnne miasto Targów Międzynarodowych, ciekawych zabytków i stolica turystycznego regionu zdobył się dotychczas na jedną skromną piwiarnię. Więc zlikwidujmy kioski. A co dalej?

Już ani słowa o alkoholu. Chociaż... Jeszcze by można na przykład o koktajlu, aperitifie. Spróbujcie jednak zamówić coś takiego — mniej szkodliwego — choćby w najlepszej kawiarni...

Pardon, już jestem słowny. Może więc teraz o kawie?

Czy umiemy ją pić? Hm, nie podam tu recepty na kawę z rumem, czy śmietanką. Zapytam jedynie — jaki gatunek kawy lubicie? Właśnie! W każdym sklepie oferują Wam Wyborową, Super, Santos, Robustę, Marago lub Nesce. W kawiarni natomiast mają zupełnie wyjątkowy napój: „kawę naturalną”. Jakby to, co robicie w domu po kupnie w sklepie — było nędzną namiastką znakomitej kawy z gastronomii...

Oto i nasza kultura picia, zadowolamy się bliżej nie określonym, jedynym, rodzajem kawy w kawiarniach. W lokalach — sądząc po nazwie — specjalistycznych. Zatrzyjcie jednak uważnie do spisu — znajdziecie tam bez liku alkoholi. Chwała więc poznańskiej kawiarni „Marago”, że chociaż ona jedna popularyzuje swą imienniczkę. Toż to kawa — wielokrotna medalistka, wyróżniona znakiem jakości.

Kiedy nie umiemy jeszcze pić i sporządzać gatunkowej kawy w kawiarniach — na walkę z wiatrakami zakrawa żądanie podawania gatunkowej herbaty. Od dwudziestu przeszło lat narzekamy na cienkusz, podawany w restauracjach itp. zakładach zbiorowego żywienia. Można by w tym miejscu znów wyliczać ile to gatunków herbaty proponują nam w sklepach spożywczych, ale to sprawa z góry przegrana — dobrej, gatunkowej herbaty w wyborze, umiejętnie sparzonej, nie zaproponują nam w zakładach gastronomicznych, z wyjątkiem warszawskiego „Gongu”. Co prawda takie wymogi powinna spełniać przynajmniej herbaciarnia. Lecz czy Poznań zdobydzie się na taki luksus, otworzy taki lokal, skoro o jego istnieniu i powodzeniu mają decydować opinie staroświeckich pań, me znających się na prawdziwej gastronomii?

Ja się też na niej nie najlepiej znam, ale przynajmniej taką widziałem. Po sąsiedzku, przez bliskie granice.

Józef Pieprzyk

Folklor poznański

Przed kilkudziesięciu laty jeszcze się manifestował, żył na użytek grona towarzyskiego, potem pod naporem oficjalnej twórczości, wszedł w nurt ukryty, aby nie razić smakoszy wielkich utworów i modnych powieściopisarzy, poetów, kompozytorów. Po drodze wiele stracił na sile i różnorodności. Przeniesiony ze wsi, chowany w obręb rolniczych rejonów mieszkanych, rozpowszechniany przez dzieci i młodzież raz po raz zjawia się jak „gawrosz”: zaważki, zaczepny, a przecież nie pozbawiony wielu cech sympatycznych. To właśnie folklor poznański, zamierający, a jednak żywy.

Oto na przykład — gwara ludowa w Poznaniu niezwykle powszechna. Używają jej przeważnie pokolenia najstarsze i wyrostki. O tej gwarze w swoich szkicach literackich pt. „Na końcu języka” pisze St. Wasylewski:

„... tutaj żyją sobie w najlepsze i krążą w codziennej mowie powiedzonka, które myśmy w centralnej Polsce odesłali dawno do lamusa literatury. Poznańczyk chodzi na przechadzkę co dzień, my już tylko w książkach. Gromy biją w niego zamiast piorunów, worek nazywa miechem, krzak — kierzem, a burzę powietrzem, jak w publikacjach (...). Jest rzeczą prawdopodobną, że Mieszko mówił: psia kręć, dzięki Bogu i oganiał się od swych nadmiarów świegocących dworów: Idźta prek, psieduszne selery, że szklarz (...). Już wówczas rznął szyby na poczekaniu, a potem żeby nie opleśnić po kuntach, jechali wszyscy powózką na ostatni program do kina Słońce”.

Wiele przykładów tej gwary znaj-

dziemy w zbiorze humoresek „Goździem w ślip” A. Wilkanowicza i w „Zaukach grzecznego miasta” Marii Rataj. Nie wyginęły i po drugiej wojnie. Ostatnio zebrałem przeszło 300 słów, których albo nie znajdziesz w dużym Słowniku Języka Polskiego, albo w tym Słowniku daje się im inne pojęcia.

Materiał to ciekawy, stanowiący w pewnym sensie przyczynek do stosunków społecznych w Poznaniu. Najwięcej starych nieznanych słów (niestety, Słownik Wiejski, w 6 tomach, zebrany w końcu XVIII w. przez St. Żarnowieckiego przepadł, nie można więc porównać) i nowo utworzonych, niewątpliwie przez mężczyzn, odnosi się do kobiet złego prowadzenia się. Tak samo liczną serię określeń otrzymali „nastolatki”.

Są tu „chojraki, gibasy, gzi, gzyby, knajdry, knajtry, knyrpsy, lofry, lufty, miglance, paskudy; mogą oni bąbnąć, buchnąć, capnąć, chapnąć,

Dokończenie na str. 6

popada coraz bardziej w zależność od Wydziału Robotniczego”.

Następnego zaś dnia (22. 3.) „Dziennik Poznański”, związany z kołami obszarowymi, uwytykał z wyraźną już niechęcią dalsze narastanie nastrojów rewolucyjnych:

„Jak donoszą (...) przybiera agitacja anarchistyczna (czyli, jak należy przypuszczać, bolszewików — M. O.) w Piotrogradzie formy coraz niebezpieczniejsze. Opinię mas burzy się coraz więcej przeciw Dumie. Upomnienia komisji dobra publicznego, aby podjąć pracę nie posłuchano w żadnej fabryce. Żołnierze w Piotrogradzie nie słuchają nikogo, oficerów nie pozdrawiają”.

Zwracał przy tym wszakże uwagę na możliwe konsekwencje antywojennych — wbrew stanowisku Rządu Tymczasowego — nastrojów mas:

„W dyplomatycznych kołach paryskich zaplanował po pierwszych objawach radości, duch pesymistyczny. Rewolucja w Rosji nie posiada tak łagodnego charakteru, jak to się przedstawiało w prasie. Przeciwnie, na pierwszy rzut oka wydawało. Przeciwnie, w Rosji zaczęły ujawniać się prądy i starcia, które najfatalniej mogą się odbić na całym wewnętrznym ustroju państwa, przyczynić się do zupełnego rozprężenia na froncie”.

Dodawał do tego następujący komentarz własny:

„Byłoby próżnym wszelkie prorokowanie. O rewolucji wiadomo tylko jedno: jak się zaczyna. Jak się kończy, tego w żadnym przy-

padku przewidzieć niepodobna (...). Czy ruch dzisiejszy, w gruncie rzeczy „za lepszą wojnę”, nie przemieni się w rewolucję „za pokój”, to kwestia przyszłości”.

Od tego dnia jednak pro-obszarniczy „Dziennik Poznański”, zaczyna obawiać się rozwoju rewolucji w Rosji, zwłaszcza zaś aktywności mas chłopskich. Co prawda dopiero w tydzień później, 29. 3. napisze w komentarzu „Rewolucja rosyjska i jej wrogość”:

„Silna propaganda żywołów przewrotnych, zwłaszcza w ubiegłych kilkunastu latach i na wsi zrobiła swoje (...). Stanowią oni żywioł dla nowego rządu dość niebezpieczny, domagać się bowiem będą nowych reform agrarnych, streszczających się w rozdawaniu wielkiej własności ziemskiej pomiędzy chłopów. Na tym tle powstaje mogą w przyszłości niedalekiej niepokój bardzo groźne...”

Zwróćmy wszakże uwagę, że „Postęp” — mniej uczulony negatywnie na wszelkie ruchy chłopskie, reprezentujący drobniomieszczaństwo, 23 marca informował:

„Do Piotrogradu nadeszły pierwsze wiadomości o rozpoczynających się ruchach rolnych (...). Również w guberni woroneskiej zaczęły się ruchy na podkładzie czysto socjalnym. W powiatach (...) gdzie już w roku 1905 chłopstwo (...) niszczyło majątki, rozpoczęł się ruch podobny (...). Gubernator woroneski, który oddał się do rozporządzenia nowego rządu, wysłał przeciwko zbuntowanym chłopom część pułku mohilewskiego piechoty i 16 pułku ułanów. Żołnierze odmówili posłuszeństwa oficerom i zabili sześciu, pomiędzy

nimi zastępcę dowódcy 7 dywizji. Gubernator sam jest ciężko ranny”.

„Postęp” donosił zarazem, że:

„Przeciwieństwo pomiędzy wydziałem wykończonym Dumy a robotnikami coraz więcej się zaostrza. W Piotrogradzie utwierdza się mniemanie, że robotnicy w najbliższych dniach chcą wywołać kontrrewolucję (!?) by wymusić zakończenie wojny”.

Nie zabrakło również w prasie poznańskiej komentarzy, zwracających uwagę na międzynarodowe znaczenie wydarzeń w ośrodku rewolucyjnym, jakim stała się Rosja. „Kurier Poznański” w zamieszczonym 22 marca artykule „Echa polityczne rewolucji rosyjskiej”, pisał:

„Jakkolwiek obrót wezmą sprawy rosyjskie, to jedno wydaje się pewne, że proces tak olbrzymich przemian, jakim jest demokratyzacja ustroju politycznego w największym, a zarazem najbardziej reakcyjnym państwie Europy, nie pozostanie bez wpływu na stosunki polityczne w innych państwach Europy. Przykład zwycięskiej demokracji w Rosji podniesie niewątpliwie prądy demokratyczne we wszystkich krajach i stanowić będzie potężny bodziec dla zrealizowania ideałów polityki demokratycznej wszędzie tam, gdzie dotychczas władza polityczna spoczywała w rękach nielicznych warstw uprzywilejowanych.”

Demokracja niemiecka zareagowała już bardzo silnie na odgłosy rewolucji rosyjskiej, mimo że oba państwa oddziela od siebie hermetyczny kordon frontów wojskowych (...). Organ socjalistyczny „Vorwaerts” zamieścił

dwa artykuły (...), w których w związku z wypadkami w Rosji rozwinięte są żądania, domagające się natychmiastowych reform demokratycznych...”

Już choćby z tego względu, że ucisk germanizatorski był jednym z następstw antydemokratycznego reżimu, panującego w zaborczym państwie niemieckim, to co działo się w Rosji, musiało budzić sympatie Wielkopolan.

Podobnie, w kierunku wzbudzenia sympatii do rewolucyjnej Rosji, musiały oddziaływać takie nawet małe ścisłe jeśli chodzi o nazewnictwo, wiadomości jak zamieszczona 31 marca w „Postępie”:

„W większej części fabryk, także w Zakładach Putiłowskich, wciąż strajkują (...).”

Robotnicy wybrali nowy wydział pod nazwą Centralny Komitet Partii Robotniczej. Postanowiono natychmiast wejść w porozumienie z proletariatem demokratyczno-rewolucyjnym wszystkich krajów toczących wojnę, celem doprowadzenia bezpośrednio do zakończenia zbrodniczej wojny narzuconej narodowi. „Żądamy zbratania w okopach żołnierzy krajów walczących”.

Tak oto zaczęły docierać na teren Wielkopolski wiadomości, zwiastujące już w marcu — listopadowe zwycięstwo Wielkiej Rewolucji.

MACIEJ OLSZEWSKI

Nie tylko przekłady

"Amerykę" Franza Kafki należy właściwie czytać przed „Procesem” i „Zamkiem”, chronologicznie otwiera bowiem ten jakby cykl wolający wielkim głosem o samotności człowieka. W tamtych utworach steżenie dramatu i tragedii jest silniejsze, bardziej ostre i pesymistyczne, przez co jasnie objawia się oblicze duchowe autora i jego stosunek do odświeżającej przez siebie wizji świata. „Ameryka”, poruszając ten sam problem, samotności i zagubienia, ma mniej barw ciemnych, zostaje tu furtka dla nadziei i optymizmu, znacznie też tu więcej elementu, przygody, fantazja syty się z innych źródeł. Bo wszakże ta podróż była podróżą nieodbyta, Kafka o niej jedynie marzył, i z marzeń stworzył obraz kontynentu widzianego oczyma Karla. Utwór ten jest nader istotny, zezwala bowiem na stworzenie pełniejszego wizerunku osobowości wielkiego, zagubionego samotnika.

Drugą pozycją z „Czytelnikowskiej” serii „Z Nike” jest na pewno dyskusyjna, ale ciekawa powieść prozaika angielskiego średniego pokolenia Williama Goldinga „Władca much”. Powieść ta niekiedy razi uproszczeniami malunku psychologicznego, naginaniem reakcji bohaterów do koncepcji autora, zresztą jednak pociąga tematem. Ucieczka przed bombą atomową powoduje, iż grupa chłopców trafia na bezludną wyspę. I oto tworzy się miniaturowe społeczeństwo, w którym pojawiają się i rosną konflikty typowe dla każdej społeczności dorosłych. Tymowe, ale złe, szkodliwe. W postawie autora jest i ostra satyra, i zjadliwa groteska, nade wszystko wszakże jest ostrzeżenie.

Z opóźnieniem nimałym, powieść bowiem wydana została o raz pierwszy w r. 1924, ale chyba dobrze, że ten utwór Ilii Erenburga dostajemy wreszcie do rąk. „Rwacz”, to jeszcze nie Erenburg z późniejszych swoich utworów, z kresu pełnego rozkwitu talentu, ale niemniej książka zastanawiająca problemowo i pociągająca artystycznie. Powieść tę pisał autor w Paryżu, ale treść jej wiąże się najściślej z pierwszymi latami nowego lucywności w Rosji. Jest studium bohatera, wzruszonego na boczny margines, nie bez oporów ze swą jej strony, ale i z aprobatą wynikającą ze słabej woli.

Książka wciąga szerokim obrazem społeczeństwa do piero zaczynającego formować nowy system moralny, jak zawsze u Erenburga, daje też bardzo witalistyczne, śmiałe studium psychologiczne.

Z zaciekawieniem, łączącym się po części z własnym przeżyciem, sięgnąłem po inne z „Czytelnikowskich” przyswojeń. Tym razem w przekładzie Jadwigi Dmochowskiej, a w wyborze i opracowaniu Marcina Czerwińskiego, otrzymałem tom nieznanym u nas zupełnie imprez sji podróżniczych wybitnego poety Gerarda de Nerval’a pt. „Podróż na Wschód”. Z pasją i głęboką docieklivością Nerval zwraca się ze swych przeżyć w Egipcie, w krajach Lewantu, w Persji i Turcji. Działo się to z górą wiek temu, obraz tamtych krajów pociągał Europejczyka niefałszowaną egzotyką. Relacja jest wierna, niekiedy reportersko dokładna, a wszakże urzeka w tekście coś innego. Oto umiejętność dotarcia autora do spraw i zjawisk, zazwyczaj niedostępnych oczom przybysza. Nerval próbuje analizować napoty kany świat niejako od wewnątrz. Znamienne, że sze reg spostrzeżeń nie straciło swej aktualności po dziś.

Z polskich nowości pragnąłbym zaanonsować te przede wszystkim, które interesują zbieraczy. Zaczniemy zatem od informacji o ukazaniu się trzeciego tomu „Wycieczek balonem” Stanisława Zielińskiego, tych operlonych humorem, docieklivych i serdecznych, a ostrych zrazem jak brzytwa „gawęd z pretekstem” o książkach. Naprawdę smakoszowski rarytas.

W miniaturowej serjicy „Poeci polscy” wznowione zostały wybory liryków Jana Kasprówicza i Adama Asnyka. Drugie i trzecie wydanie. I niech ktoś powie, że poezja nie znajduje wdzięcznego odbiorcy.

I wreszcie, w pięknie edytorsko wyglądającej serii „Ziel” Stefana Żeromskiego otrzymaliśmy obecnie trylogię „Walka z szatanem”. Mamy tu zatem i „Nawracanie Judasza” i „Zamieć” i „Charitas”. Na klady odpowiednio wysokie i jak zawsze w tej edycji, doskonale opracowania i komentarze Stanisława Pigonia.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

OSTATNI SEZON W SZWAJCARII

BOGDAN RUTHA

W październiku 1938 roku, kiedy Hiszpania Republikańska odcięta była już blokadą od świata — w Szwajcarii wraz z innymi antyfaszystami różnych narodowości znalazł się także bohater powieści. Mieszkają w hotelu „Der Schönen Frauen”, działają na rzecz uratowania ludzi skazanych przez faszystów na zagładę, na rzecz budowania dla nich dróg odwrotu z Hiszpanii. Narrator w roli kuriera udaje się do Barcelony, by zawiadomić rząd o przejęciu przez Niemców szwajcarskiej republikańskiej. Rusza samochodem, którym kieruje Hase — szofer prof. Sauerbrucha, jednego z osobistych lekarzy Hitlera. Zanim wyruszył już ktoś przeszukał jego hotelowy pokój. Teraz w drodze spotykają śledzący ich samochód jaguar, w którym autor rozpoznaje psa bernardyna; widział już go kilka razy — m. in. w Polsce, w Berlinie, a potem w Szwajcarii, z nim zaś austriackiego narciarza Rella.

Posunę się więc znowu nieco w czasie, w stosunku do wydarzeń, jakie opisuję — i tak przecież na wszystko patrzymy z perspektywy dnia dzisiejszego, jakiejś tam chwili, ginącej zaraz, jak myśl z pamięci — i oto widzę mojego sportowca, jak w cywilnym ubraniu, w tyrolskim kapeluszu, wychodzi w towarzystwie szefa Geheime Staatspolizei, Weissmanna, i pewnej Polki — znajomej mi, ale teraz wyglądającej całkiem inaczej — z zakopiańskiego hotelu „Palace” — znowu Palace! — gdzie w czasie wojny była siedziba gestapo. Jest teraz szefem gestapo, i SD na Podhalę. I tu zaczyna się już zupełnie inna historia, choć znowu, gdy się uważnie przyjrzeć, była przecież dalszym ciągiem tamtej, poprzedniej, którą opisuję.

Jeżeli już zabrnęliśmy tak daleko, to trzeba jeszcze powiedzieć o wydarzeniu, które mnie samemu wydaje się nieopojęte. Oto już po wojnie — tropiłem wtedy ślady tamtej szwajcarskiej historii — pewna zakopianka, pokazała mi odnalezione przypadkowo zdjęcie, na którym

— 29 —

OSTATNI SEZON W SZWAJCARII

BOGDAN RUTHA

i ma. Krótko po przyjeździe owej Polki do miejscowości, w której mieszkalem — już wtedy, moja przyjaźń z Rafaellem Jimenezem, nie była dla nikogo tajemnicą — za telefonowała ona do mnie, prosząc o spotkanie. To swoje natręctwo, jak się wyraziła, tłumaczyła faktem, że pragnie poznać wszystkich, przebywających tu Polaków. Takie postępowanie było w zwyczaju, i nie zdziwiło mnie. Znajomość urwała się po dwóch, czy trzech spotkaniach.

Przygoda z psem i jaguarem nie dawała mi spokoju. Co chciałem o niej zapomnieć wracała mi do głowy na nowo. Hase też — widać to było po nim — myślał o tym. Zaczynało już świtać na dobre. Na wschodzie pokazał się czarny rysunek szczytów, na tle jaśniejszego nieba. Błado prawie w oczach. Robiło się coraz jaśniej. W ole jeszcze było ciemno, w górze niebo miało już kolor ckwareli, jak w kwietniu po deszczu. W wysokich górach dzień kończy się, i wstaje nagle, jak na pustyni.

Zjeżdżaliśmy coraz niżej.

Słońce już się pokazało. Wyglądneło zza linii szczytów, oświeciło ziemię. W jednej chwili, wszystko zmieniło się. Z mroku wyłonił się świat, jakby wydobyty nagle z worka czarnoksiężnika. Ukazały się rozległe doliny, wypełnione przezroczytym światłem poranku. Do nich schodziły stoki wzgórz, o tej porze roku jeszcze zielone, gdzieniegdzie tylko rudziejące. Tu i tam, otwierały się małe, ciepłe kiołki. W dolinach, i na pogórzach rozkładały się lasy. Świerkowe i liściaste. Widać, zjechaliśmy już dobre pięćset metrów. Hotel „Der Schönen Frauen” pozostał wysoko nad nami. Byłem zmęczony. Oczy same mi się zamykały. Kiedy je otworzyłem na dobre, było

— 31 —

rozpoznałem Rella, jak stał na bulwarze jakiegoś portu, oparty o pal do przywiązania lin. Był w mundurze oficera Wehrmachtu. Za nim widać było dziób okrętu, stojącego przy nabrzeżu, na dziobie wyraźnie nazwę: — „Reina”. Od zakopianki dowiedziałem się tylko, że Austriak, za odmowę wykonania rozkazu, wysłany został na front wschodni, gdzie po roku zginął. Z jakiego okresu pochodziło zdjęcie, nie udało mi się ustalić. To pewnie tylko, że zrobiono je, już po wyjeździe Rella z Zakopanego. Może, zanim zginął na froncie, płynął gdzieś na tym statku?

ROZDZIAŁ V.

PIAZZA DI SPAGNA — NAJLEPSZA KRYJÓWKA W RZYMIE

Tymczasem, nie mając jeszcze pojęcia o tych wszystkich historiach, ani nawet o tym, co przyniesie mi najbliższa godzina, siedziałem rozparty w fotelu Mercedesa, i myślałem, że niepotrzebnie powiedziałem Vivian, asystentce doktora Wolffa, o tej tancerce z Chez Nous. Nic lepszego nie przyszło mi wtedy do głowy. Był to idiotyczny pomysł. Miałem jednak nadzieję, że Vivian nikomu o tym nie powie. Na przyszłość postanowiłem być rozważniejszy.

— Porca madonna! — zakląłem.

Hase odwrócił się.

— Nic, nic — powiedziałem, i machnąłem ręką.

Hase wiedział o tej historii z Rellem, jednak w głębi duszy, zdaje się, powątpiewał w to, czy to od początku jest jeden i ten sam człowiek, czy ten w Zakopanem, i w Szwajcarii, to jedna i ta sama osoba. Sądził pewnie, że pomyliłem się. Splot okoliczności już wtedy był niecodzienny. Później nie mógł sobie darować, że od razu nie uwiarył mi. Pewne sprawy potoczyłyby się inaczej.

Ja tymczasem głowie mi się, czy pies, który wytknął łeb z okna samochodu, był tym bernardynem z pociągu i tym spacerującym z tajemniczą Polką po polu golfowym? Z psem, sprawą była znacznie trudniejsza. To, że sportowiec z Polką znali się, nie ulegało wątpliwości, jeżeli przyjrzy się, że był to ten sam pies. Tu trzeba jeszcze powiedzieć coś, co może dla całej sprawy nie ma znaczenia i jest tylko zwyczajnym przypadkiem, ale może

— 30 —

już widać czubki wież. Rzym zbliżał się szybko. Zaczęły się przedmieścia. Pierwszy etap mojej podróży, kończy się — pomyślałem sobie — jakie będą następne? Kto przeżyje — zobaczy, jak mówi włoskie przysłowie. Przemknęliśmy się przez coraz to ludniejsze ulice, przez liczne, nagle otwierające się, urocze rzymskie place, i stanęliśmy na miejscu, pod murem, oczywiście kościoła, na Monte Pincio.

Spojrzałem w dół. Człowiek najpierw musi patrzeć w dół. Każda przepaść, choćby najmniejsza, przyciąga nasze oczy. W dół leżał prześliczny o tej porze, Piazza di Spagna — Plac Hiszpański. Tu stąd, z góry, na której stał śmy, prowadziły do niego piękne, stare schody — Scala di Spagna. W dół, u ich stóp, była fontanna Berniniego, w kształcie okrętu. Byliśmy w Rzymie. Widać było stąd dużą część miasta, i dachy Kwirynału, gdzie — jak utrzymywał Hase — siedzi przycupnięta, wystraszona rodzina Savoia-Aosta, razem z królem i królową, tą poczdawą, ale głupią kobieciną, córką tego łapciucha Nikity z Cetynii, króla czarnogórskiego, ogromnie podobno zabawnego faceta, który żyje z paczek przysyłanych jego stajennym z Ameryki. Wszyscy tę historię powtarzali, bo była uciechą. Tymczasem Hase wysiadł. Dał mi znak, żebym się nie ruszał. Patrzył uważnie w jedno z okien, na trzecim piętrze domu, stojącego tuż przy kościele. Okno to miało zamknięte żaluzje, takie, jakie widuje się wszędzie w Rzymie. Na portalu domu zaczęłam odczytywać napis: Alberto. Reszty nie było widać, zasłaniała palma. Okno — ostatnie przy ścianie szczytowej — było najwyżej położonym punktem, w tej części miasta. Nie licząc siedmiu dwóch wież kościelnych. Hase ciągle zerkał na zegarek. Była punktualnie czwarta po południu.

W tym momencie okno — właśnie to, na które miałem cały czas podejrzenie — otworzyło się, a raczej uchyliły się drewniane żaluzje. Ukazała się różowa firanka. Poruszała się, wysunęła na zewnątrz, jakby pchnięta przeciągiem. Przez chwilę falowała lekko, jak gdyby oddychała pod tchnieniem niewidomego wiatru. Potem opadła, żaluzje zamknęły się. Spojrzałem na zegarek. Była jedna minuta po czwartej. Hase kazał mi wysiąść.

— Za dwie minuty wracam — powiedział.

cdn.

— 32 —

Niektóre praktyki, zrazu jednostkowe, przechodzą w nawyki. Dobrze to, jeśli owe praktyki czy nawet precedensowe wydarzenia należą do pożądanych i potrzebnych. Gorzej, jeśli upowszechnia się zjawiska niepożądane. Oto na przykład.

OPINIE PRACOWNICZE

Pisze o nich w „Prawie i Życiu” Zenon Młyńczyk, przypominając, że jawne opiniowanie pracowników o bawiającej od lat wielu, a poufne jest zakazane od lat 10. A jednak w praktyce to, co kiedyś uznano za szkodliwe, uprawia się nadal, chociaż często nie na piśmie, ale np. telefonicznie. Przy tym poufne opinie są często nieprawdziwe. Takie zaś prawo określa: deliktem służbowym, czynem niedozwolonym, zamachem na dobro osobiste, występkiem.

Rzadko jednak sądy zajmują się ściganiem za takie opinie, gdyż niełatwo po prostu udowodnić sprawcy winę. Ciępi zaś człowiek obarczony taką opinią. Jak temu zapobiegać — oto pytanie, nad którym niedługo już się głowią, dotychczas bez widoczniejszych skutków.

Warto więc może tym bardziej rozważyć propozycje Młyńczyka, który proponuje ustanowienie schematu opinii na formularzu, gdzie wypisywałoby się fakty dotyczące, dotychczasowego przebiegu pracy opiniowanego, fakty z góry określone i łatwo sprawdzalne. O prawdziwość podanych opinii łatwo zadba

sam pracownik. Zaś nowy ewentualny pracodawca w przypadku odmownej decyzji co do przyjęcia do pracy człowieka zgłaszającego się ze skierowaniem z wydziału zatrudnienia i innymi dokumentami, wśród nich z opinią z poprzedniego miejsca — zobowiązany powinien być do wskazania w odmowie faktów, które decyzję tę przesądziły. Przy takim systemie — zdaniem Młyńczyka — żadna telefoniczna opinia nie będzie mogła być

Przeglądamy Prasę

w odmownej decyzji uwzględniona, bo sprawa z miejsca mogłaby się znaleźć na wokandy sądowej. Opinia poufna straciłaby swą żywotną przydatność.

KOMPLEKS TUBYLCA

Nawyki przyjmują się przez lansowanie pewnych zjawisk, faktów itp. To oczywiste. Takim lansowaniem powszechnie hasłem jest m. in. walka o dewizy. To ważne i potrzebne. Ale ubocznym rezultatem tej kampanii jest — zauważa Krzysztof Teodor Toeplitz na łamach „Kultury” — szerzenie kultu „cennych dewiz”. Dochodzi do tego, że wśród ludzi utrwała się przekonanie, iż tylko dewizy są wartościowe, co może mieć także wcale ważne, a nie pożyteczne, skutki społeczne. Dlatego Toeplitz także — jak wszyscy — nawołujący do zdobywania dla kraju jak najwięcej dewiz, opowiada się za umiarem:

„Jeżeli dzisiaj (...) dowiaduję się, że ktoś z szacunkiem odnosi się do naszych obrabiarek, że kupuje się nasze urządzenia elektroniczne, albo że w okresie spadku międzynarodowego zapotrzebowania na węgiel energetyczny potrafiłby podjąć wyzwanie na odcinku — ciągle poszukiwanego — węgla koksu, to moje uczucia obywatelskie doznają pewnej satysfakcji, którą można także nazwać dumą.”

Dlaczego jednak — zapytuje autor — Polaka degraduje się do roli stęsknionego za dolarami tubylca przez to, że każe mu się cieszyć na przykład z tego, iż ktoś sprzedaje jakieś gołębie za dolary, lub ślimaki czy wikliny. Autor wychodzi z takiego założenia:

„Jednym z najważniejszych zadań socjalistycznego wychowania społeczeństwa, zwłaszcza zaś młodzieży, jest kształtowanie postaw obywatelskich, opierających się na zaufaniu i szacunku dla własnego społeczeństwa, własnego Państwa, jego instytucji i urządzeń; jest przekonywanie, że nasza praca jest coś warta, że warto ją wykonywać, że to, co tworzymy, ma podstawy solidne i trwałe. Symbolem tego jest m. in. stosunek do własnej waluty, do złotówki.”

Więc może dalej dbając o przypływ dewiz dla kraju, troszczymy się jednak bardziej o poszanowanie także własnego pieniądza.

★

Na zakończenie, z okazji Świąt, przestroga przed kulturowaniem złych nawyków. Oto hasło tygodnia w „Szpilkach”: „Pamiętaj, że każdy następny kieliszek może być kielichem gorczy.”

LEKTOR

Folklor poznański

Dokończenie ze str. 5

głabnąć, zgwiznąć, skibnąć, składować, śwignąć, śwignąć, a zawadziac: grandzić, kajlować, nawtykać, poczęstować, zrobić raban, naluchać, grajfnąć, dać w cynder, fanę, gębę, gnyk, kalafę, knuber, tytę, itd. Ludzie w mieście nie lubią też nudziarzy, a więc barłogów, blubraczy, brawend, kolowrotów, marud, nyroli, gdyroli, glendziarzy. Maż o żonie, która poszła do sąsiadki na pogawędkę, mówi, że udała się na kłojdry, bembry, klekoty. Pomijam tu całą „gemylę” słów, którymi szafuje młodzież męska, aby dodać sobie pozoru dojrzałości.

Gadki ludowe już dawno wymarły. Z domów wypędziły je książki, potem radio. Początkowo kryły się na przedmieściach, ale i tam nie znalazły dłuższego schronienia. Były ciekawe. Jedną z nich na przykład opowiadała o bogactwie soli pod górą wznoszącą się między Skórzewem a Ławicą...

Proletariat poznański lubiał śpiewać, świadczy o tym niezwykle dużo piosenek (przeszło 60) podmiejskiego Poznania, zanotowanych przez stu laty przez O. Kolberga. Są wśród nich pochodzące z różnych rejonów kraju, są i miejscowego rodzaju. Ale ten pracowity etnograf nie zebrał wszystkich. W la-

tach dwudziestych naszego wieku śpiewano na Wildzie:

Tam na Wildzie, na końcu wsi, jest kawaler, co o mnie śni... Jezyce miały także swoją piosenkę: „O Jezyce, ładna wieś...”

Na Staroście zaś śpiewano jeszcze po II wojnie:

Ja tam nie buł, ja tam nie buł, jak dziewczęta radovali Jaki taki pannę dostał, a mnie starą babę dał...

Na Wierzbiciach w obiegu była piosenka pochodzenia warszawskiego, ale przerobiona na modłę miejscową:

Jestem sobie poznanianka krótkie suknie noszę, chłopcy mnie kochają, ja o to nie proszę...

To tylko strzępki piosenek zachowanych w pamięci najstarszych poznaniaków. Starsi pamiętają doskonale grajków i śpiewaków podwórkowych, ich repertuar zawierał modne i niemodne „szlagiery”, także utwory własne i napisane przez dorosłych poetów. Ostatni taki śpiewak chodził jeszcze około 1960 roku po Łazarzu z balladą o samotnej matce, którą opuścił dzieci, przenosząc się do wygodnych mieszkań. Był to pewnie ostatni w Poznaniu śpiewak podwórzowy.

JÓZEF PIEPRZYK

P.S. Ktokolwiek pamięta owe stare piosenki, pieśni i ballady ludowego Poznania, proszony jest o przekazanie ich do redakcji, w celu uratowania ich od zapomnienia. Wdzięczność moja — za tę przysługę.

J. P.